

Ewa Nowacka

Dwaj mężczyźni i Ona

ROZDZIAŁ PIERWSZY

MAŁY gra w kapsle rozsądnie, bez pośpiechu. Przytyka w nakrętkę nie za mocno i nie za słabo, precyzyjnie wymierza odległość i nie rzuca spojrzeń na boki, jak robią to inni mali.

Na deskorolce Mały jeździ bez podskoków i zawijasów, ale tylko on potrafi przejechać od murku przy piaskownicy do siatki przy szkolnym boisku, nie odepchnąwszy się ani razu i tylko pod naciskiem jego stóp deskorolka skręca płynnie łukiem na placyk przed osiedlowym sklepem.

Roweru Mały nie ma, jeśli nie liczyć przedpotopowego grata z przykręcanymi kółkami. Rzecz jasna, kółka można odkręcić, ale nie zmienia to faktu, że Mały już dawno wyrósł z dziecinnego rowerku.

— Trzeba go oddać jakiemuś maluchowi — mówi mama, a rowerek dalej stoi w pokoju rodziców między szafą a regałem. Albo trudno jest znaleźć odpowiedniego malucha, albo rodzice przyzwyczaili się do obecności rowerku i czegoś by im brakowało, gdyby zniknął.

Tak więc Mały nie ma roweru, ma za to rodziców, siostrę Goškę, deskorolkę i garść kapsli. W pewnym sensie ma także psa, pudła z siódmego piętra, który zawsze do niego przybiega, wita się przysiadając i machając ogonem, a potem biega za deskorolką, asystuje przy grze w kapsle albo poważnie chodzi krok w krok za Małym.

— Czyj ty jesteś! — Wstydzi się czarnego pudła jego pani. — Kto ci daje jeść? Kto cię wyprowadza na spacer? — To mówi do pudła, a to do Małego: — W głowę zachodzę, dlaczego wybrał cię, na osiedlu jest przecież tyle dzieci.

Kiedy pudel odchodzi, naciągając smycz i oglądając się za Małym, inni mali zaczynają rozważać, czy pudle nadają się na psy policyjne i czy mogłyby skakać tak wysoko jak teriery albo biegać tak szybko jak

7

charty. Mały nie bierze udziału w tych rozważaniach, pudel podoba mu się taki, jaki jest, wcale nie musi ścigać złoczyńców, ani jednym susem przesadzać przeszkód.

Mały bardzo chce mieć i rower, i własnego psa, ale rozumie, że istnieją marzenia niemożliwe do zrealizowania, jest rozsądny, o rower i psa nudzi tylko tyle, żeby rodzice nie zapomnieli, czego najbardziej pragnie.

Wrześniowym popołudniem Mały gra w kapsle na placyku pod trzepakiem. Z topoli kapią niespiesznie pojedyncze liście, jesień jest tuż-tuż, w ugrzanym powietrzu chwyta się ledwie wyczuwalne tchnienie chłodnej wilgoci. Wróble skubią nasionka rdestu, po chodniku, na wyciągnięcie ręki przechadzają się gołębie, nadymając

podgardla.

— Chiny wypadły!

— Coś ty! Wypadł Bangladesz.

— To ja teraz.

— Wcale nie ty, tylko Nikaragua.

Dzisiaj nie trzeba się spieszyć, do wieczora jest cały ocean czasu, w piątkowe popołudnie nikt nie zagoni ani do lekcji, ani do przepisywania zeszytu, ani do wynoszenia śmieci, do kupowania kartofli, porządkowania półki, zaraz po powrocie z pracy mama i ojciec pobiegli na dworzec, zostawiając Małego pod opieką Gośki, wrócą dopiero na niedzielny obiad.

— Odsmaż kopytka. W łóżku macie być najpóźniej o dziesiątej. Jakby co, telefonuj do cici. I Małgosiu, pilnuj Tomka.

To wszystko powiedziała mama w przedpokoju, tuż przed wyjściem. Gośka cmoknęła ją w policzek.

— Nic się nie bój, mamó. Już ja mu pokażę, co znaczy starsza siostra.

I rzeczywiście, odsmażyła kopytka, nakrajała kopiasty talerz pomidorowej sałatki, dopilnowała mycia rąk i pozmywała talerze. Kiedy zrobiła to wszystko, zapytała Małego:

— Dasz sobie radę? Wrócę koło siódmej.

Mały poczuł się trochę urażony takim pytaniem. Jasne, że da sobie radę. O co chodzi?

— No, to ja lecę. — Gośka zmieniła tenisówki na adidasy. — Mam zostawić klucz u sąsiadów czy wziąć?

— Weź — poradził Mały.

Klucze zostały schowane do torby. Nie wiadomo, po co Gośka przy-

8

stanęła na chwilę pod trzepakiem, patrząc na wyrysowany cegłą, poskręcany w dziwne łamańce tor, którym posuwały się przytknięte kapsle.

— Nie rozumiem, po co w to gracie. — Gośka poprawiła torbę na ramieniu. — Umarłabym z nudów.

Mały, który akurat przyklęknął, nic nie odpowiedział. Tego się nie wytłumaczy żadnej dziewczynie, kapsle to bardzo fajna gra, sto razy ciekawsza od przeskakiwania nieba-piekle albo gumy, tylko że dziewczyny tego nie rozumieją, nawet Gośka.

Nikt nie wyniósł w to piątkowe popołudnie dywanu na trzepak. Na dalekiej ławce, jak co dzień, stare panie i starzy panowie omawiali aktualne ceny na bazarze. Od czasu do czasu zaskrzypiały resory wózka z niemowlakiem, biały kot skradał się ku gołębiom, nie bacząc, że go widać doskonale w nisko skoszonej trawie.

Gdy Gośka poszła już sobie, można się było spokojnie oddać grze w kapsle, do siódmej jest bardzo dużo czasu, nie trzeba się spieszyć ani nadśłuchiwać, czy nie zawołają cię z otwartego okna.

Szumnięcie ostro zahamowanego koła wydawało się bardzo głośne, tak jak ostatnie zdławione prychnięcie silnika. Mali podnieśli oczy znad kapsli.

Na placyku zatrzymała się czerwona motorynka. Trzymający kierownicę opuścił stopy, nie zdejmując dłoni z manetki, zechce, to doda gazu i zniknie równie nieoczekiwanie, jak się pojawił.

— Ale motor — wyszeptał nabożnie Krzysiek.

— Głupol! To nie motor, to motorynka.

— Fajowa.

— Chciałbyś taką?

— No.

Ponieważ kapsle, wszyscy mali jakby przyciągnięci czarodziejskim zaklęciem, zbliżyli się do motorynki, otaczając kierowcę i pojazd ciasnym kręgiem.

— Podoba się wam?

Jeśli Mały czegoś najbardziej pragnął, to właśnie takiej motorynki. Może kiedyś, jak będzie taki stary jak ten kierowca, także zasiądzie na obciążonym skórą siedelku. Mały będzie musiał bardzo długo czekać, ten z motorynki jest stary, starszy nawet od Gośki, a przecież Gośka chodzi już do liceum. W zeszłym roku, kiedy kupowano Małemu pierwszy w życiu tornister, zeszyty w trzy linie i chińskie kredki, razem

9

z mamą poszedł obejrzeć listę, gdzie wywieszono Goškę, bo została przyjęta. Tak przynajmniej mówiła wtedy mama.

— Maluchy! Który z was chce się przejechać? Na to pytanie odzywa się wielogłosowy chór:

— Ja!

— Mnie niech pan przewiezie!

— Mnie!

— Nie, mnie!

Wśród innych przepycha się i Mały, i także krzyczy, robi to bez żadnej nadziei, prawie na pewno ten z motorynki przewiezie Jacka, który już rozepchał wszystkich małych i chwycił za siedelko. Jacek jest najstarszy, najsilniejszy i ma brata w wojsku. Mały nawet w najszybszych myślach nie śmiałyby się porównywać z Jackiem. Ale ten z motorynki nie zwraca wcale uwagi na Jacka, patrzy przymrużywszy powieki na tłoczących się małych, jakby się nad czymś zastanawiał.

— Wskakuj! Ciebie przewiozę.

Do kogo to powiedział? Do Krzyśka? Darka? Pawła?

— Czemu masz minę jak wędzona szprota? Do ciebie mówię. Wsiadaj, bo się rozmyślę.

Mija dłuższa chwila, nim Mały pojmuje, że został wybrany; pochmurny Jacek puszczając siedelko odstępkuje w bok, pęka kolisko małych, gdy grając silnikiem motorynka rusza naprzód. To nic nie znaczy, że pod trzepakiem zostały zapomniane kapsle, nic nie znaczy, że Mały nie sięga stopami podnóżków, najważniejsze, że jedzie.

Z tyłu zostają osiedlowe bloki. Przyhamowują pod skrzyżowaniem na światłach, z tyłu zostaje opasty autobus, wiatr rozwiewa włosy, pracuje równo silnik.

— Muszę wpaść do domu. Chyba cię już odwiozę. A może wolisz pojechać ze mną?

Jak można pytać o taką rzecz? Mały jest gotów jechać na koniec świata, całym sobą pragnie, żeby ta jazda nigdy się nie skończyła, żeby uciekały w tył drzewa i domy, żeby czuć pod sobą drżenie pracującego motoru.

— Tak myślałem, że pojedziemy razem.

Niezbyt wyraźnie słyhać, co powiedział kierowca, zresztą to nie ma znaczenia, niech mówi co chce. Wjeżdżają w wąskie uliczki, jeden za-

10

Kręt, drugi, trzeci, wszędzie za siatkami i krzakami kryją się nieduże domki, gdzie im do osiedlowych bloków!

Motorynka zatrzymuje się przed pomalowaną na zielono furtką, z głębi ogrodu biegnie płowy bokser, marszczy pysk, kiwa kikutkiem ogona.

— Pewnie się boisz psa?

Na świecie nie ma takiego psa, którego bałby się Mały.

Nie ma i nie będzie. Kto głaszcze ogromnego doga Ariela? Kto rzuca patyki złośliwej wilczycy Kamie? Kto ciągnie za uszy sfiksowanego wyźła Dropsa? Do kogo przybiega łasząc się łaciaty Piegus, postrach maluchów z piaskownicy?

— Wcale się nie boję. Mogę wejść pierwszy.

— Kozak jesteś. Ale wejdiesz razem ze mną.

— Jak pan chce.

Kiedy szczęka przekręcany w zamku klucz, Mały zastanawia się, czy kierowca motorynki naprawdę jest panem. Chyba jeszcze nie. Pan to jest od wf, pan woźny, pan dyrektor, pan kierownik sklepu, pan hydraulik, pan gospodarz bloku. Tata jest panem i wujek Heniek jest panem, właścicielowi motorynki jakby czegoś jeszcze do pana brakowało, chociaż jest wysoki prawie jak tato.

— Leżeć, Rambo.

Na grzbiecie boksera wstaje ciemniejsza szczoteczka, warkot przelewa się w gardzieli, ale na rozkaz kładzie się, wspierając łeb na wyciągniętych łapach.

Ten od motorynki przepuszcza przed sobą Małego:

— Właż. Goście mają pierwszeństwo.

W przedpokoju ciemno. Dlaczego tamten nie zapala światła? Można sobie nabić guza, jak się nie wie, gdzie co jest. A może tutaj w ogóle nie ma światła?

To, co się teraz dzieje, jest tak nieoczekiwane, że Mały nawet nie krzyczy.

Silne szarpnięcie odrywa go od podłogi, zostaje uniesiony w górę, na próżno wije się jak piskorz, wierzga i wrywa się ze wszystkich sił, tamten jest silniejszy, otwiera kopniakiem niewidoczne w ciemności drzwi i znosi Małego w dół po osnutych mrokiem schodach.

To jest chyba piwnica, a w tej piwnicy komórka z małym zakratowanym okienkiem.

Dopiero tutaj Mały krzyczy:

— Na pomooo...

— Krzycz sobie, ile zechcesz, Tomciu. — Tamten przygląda się

11

Małemu wsparty o framugę drzwi, za sobą ma biegnące w górę stopnie schodów. — Nikt cię, Tomciu, tutaj nie usłyszy. Słowo honoru.

Skąd wie, jak Małemu na imię? To wszystko jest takie niespodziewane i dziwne, że Mały czuje łaskotanie pod powiekami, po policzku spływa łza.

— Okazuje się, Tomciu, że jesteś płaksa. Beksa lala pojechała do szpitala!

Na te słowa łzy przestają płynąć, rozmazując wilgotny ślad po policzkach. Mały pyta nie swoim, zgrubiałym głosem:

— Kto ty jesteś?

— Ktoś.

— Skąd wiesz, jak ja...

Mimo że pytanie pozostało nie dokończone, tamten odpowiada:

— Może cię od dawna śledziłem? Oglądasz, Tomciu, kryminały w telewizorze? Wiesz, co to jest tajny agent? Albo detektyw?

Czasami Małemu udaje się obejrzeć jakiś kryminał od początku do końca, jeśli ojciec lub mama nie przepędzą go sprzed telewizora, ale i tak wie, że detektywi nie porywają nikogo spod trzepaka ani nie znoszą porwanego jak paczkę do piwnicy.

— Wcale nie jesteś detektywem.

— Nie jestem — zgadza się tamten. — Mam do ciebie, Tomciu, małą prośbę.

Załatwmy to raz dwa i jesteś wolny.

To bardziej już się zgadza z tym, co Małemu wiadomo o porywaczach, oglądał taki

film, gdzie złoczyńcy porwawszy dziewczynkę kazali sobie przynieść bardzo dużo pieniędzy w czarnej walizce.

— Mój tata nie ma pieniędzy. I mama także nie ma.

— Głupol jesteś, Tomciu.

— Jak się kogoś porywa, to musi być ten... — ma to słowo na końcu języka — no ten... okup.

— To się jeszcze okaże.

Ustaje drżenie, znika gęsia skórka, może to dziwne, ale Mały się nie boi.

Nim tamten zdążył zagrozić mu drogę, Mały już jest na schodach. Mrok w korytarzu. W lewo? W prawo? Te drzwi? Tamte?

Jest w kuchni z dużym zakratowanym oknem. Z tupaniem, zadyszany wpada za nim porywacz.

— Niekiepski masz refleks, Tomciu, ale nie uciekniesz. Pamiętaj, że w ogrodzie jest Rambo. To bardzo zły pies, możesz mi wierzyć.

12

— Wypuść mnie!

— Przecież słyszałeś, że cię wypuszczę.

— Zaraz mnie wypuść!

— Okropnie jesteś niecierpliwy, Tomciu. Będziesz jednak musiał trochę poczekać. Proponuję, żebyś teraz napił się wody z sokiem.

— Nie chcę.

— Trudno. Sam się napiję.

Czy to sprawiedliwe, że ktoś starszy i silniejszy może robić wszystko, co zechce?

Gdyby na miejscu porywacza był Krzysiek, Paweł albo Darek, już by mu Mały pokazał, gdzie raki zimują. Nawet Jackowi też, chociaż Jacek chodzi już do czwartej klasy!

Tymczasem porywacz, jakby nigdy nic, nalewa sobie soku do kubka. Mały czuje, że ma sucho w gardle, spierzchnięte wargi, usta spieczone od krzyku, ale prędzej umrze niż poprosi o wodę z sokiem.

— Powiedz, Tomciu — porywacz odstawia kubek — co będzie, jak Małgorzata wróci do domu i dowie się, że zniknąłeś?

Rany boskie! Małgorzata, to przecież Gośka! Więc porywacz wie także o niej.

— Chcesz, sam ci powiem, co będzie. Małgorzata przepyta twoich kolegów, tych małych kajtków, a oni jej powiedzą, że odjechałeś na motorynce. A co będzie dalej?

Mały nie powinien wcale z nim rozmawiać, z porywaczami się nie rozmawia, tylko czuje się zaniepokojony zawisłym w ciszy pytaniem. Co on wie o Gośce? Jeżeli sądzi, że Gośka to tchórz jak inne dziewczyny, to się bardzo myli. Gośka łatwo się obraża, jest zarozumiała, bywa, że przynudza jak żaba ze złamanym zębem, ale tchórzem na pewno nie jest.

Gośka nie wyjmie z pudełka maminej broszki ani kolczyków i nie przyniesie ich temu człowiekowi, by uwolnić Małego. Za to można dać sobie ściąć głowę, jeśli się chociaż trochę zna Goškę.

— Zaniemówiłeś, Tomciu? Pytałem, co będzie dalej?

— Pójdzie do domu i poczeka. — Zastanawia się nad każdym słowem, nim je wypowie.

— Na pewno poczeka.

— Długo będzie czekała?

— Nie wiem.

— No, dobrze. Przyjmijmy, że poczeka dosyć długo. A co potem?

— Zatelefonuje do pana sierżanta Walczaka.

Z sierżantem Walczakiem Mały miał do czynienia jeszcze w czerwcu, kiedy zbił szybę w oknie u pani Malinowskiej.

Dobrze zapamiętał, że pan sierżant zadaje wiele pytań i zapisuje odpowiedzi w notesie żółtym długopisem.

Porywacz zaczyna pogwizdywać przez zęby, pewnie rozważając to, co usłyszał.

— Zatelefonuje, powiadasz, Tomciu?

— Zatelefonuje.

— W takim razie mam bardzo dużo czasu. Miną ze dwa tygodnie, nim ten wasz sierżant Walczak mnie wytropi, jeżeli kiedykolwiek wpadnie na mój ślad. —

Porywacz uchylił drzwiczki kredensu. — Naprawdę nie chcesz herbatnika?

— Nie.

— W porządku. Pozwolisz, że pokrzępię zwątląle siły, żeby móc dalej odgadywać poczynania pana sierżanta.

Podczas gdy porywacz zjada pół paczki herbatników, Mały uświadamia sobie, że jeśli porywacz zna Gośkę, to i Gośka może znać porywacza. Czy trudno jest znaleźć kogoś, kto ma motorynkę? Motorów jest bardzo dużo, motorowerów też, motorynek mało.

Dziwne, ale tamten odgadł, o czym myśli Mały.

— Całkowicie fałszywy trop, Tomciu. Motorynka nie jest moja. Pożyczyłem.

— Chłopaki powiedzą Gośce, jak wyglądasz i ona się domyśli, że to ty.

— Patrzcie, jaki bystrzaczek. Punkt dla ciebie, Tomciu. Ale ci twoi mali opowiedzą wszystko o motorynce, o mnie nic. Daję głowę, że mnie wcaie nie zauważyli. Ja też bym nie zauważył na ich miejscu.

Aha, tak sobie obmyślił to porwanie. W filmach porywacze wytężali cały rozum, żeby nikt ich nie rozpoznał, barczyści mężczyźni przebierali się za przygarbione, okutane chustami babacie, dziewczyny przyklejały sobie wąsy i brody, bystroocy młodzieńcy kryli twarz za ciemnymi okularami, blondyni farbowali sobie włosy na czarno, a bruneci golili głowę na pałę. Jednym słowem, każdy porywacz starał się przeistoczyć zupełnie w kogoś innego; listy, w których żądali okupu, wyklejali z liter wyciętych z gazet; mówiąc przez telefon, ściskali palcami nos albo seplenili, żeby nikt, broń Boże, nie rozpoznał ich prawdziwego głosu.

Krzyśka od razu można wykreślić, to gapa. Paweł widzi tylko samochody; jakby porywacz był audi guatro, toyotą corollą albo fordem pas-

14

satem, to co innego, zauważyłby nawet najmniejszy odprysk lakieru na masce. Może Darek zapamiętał porywacza, Darek wie, że ojciec Doroty wyjechał do Iraku, że wilczyca Kama będzie miała szczeniaki, i że pan gospodarz bloku popija z dwoma kolegami piwo w hydroforni, gdzie na drzwiach jest tabliczka „Wstęp surowo wzbroniony”. Więc może Darek mógłby powiedzieć Gośce, że...

— Nie chciałbyś, Tomciu, wiedzieć, dlaczego cię porwałem?

— I tak mi powiesz.

— Punkt dla ciebie. A teraz chcę cię prosić, żebyś zatelefonował do domu i powiedział, że jesteś porwany. Nic więcej.

To się zgadza. Prawdziwi porywacze robią to samo. Czasami zmuszają tego, kogo porwali, żeby się rozplakał w telefoniczną słuchawkę. Później wysyłają list z instrukcjami, gdzie należy złożyć okup.

Tylko dlaczego tamten zaczął się zacinać, kiedy mówił o telefonie do Gośki?

Dotąd się wcale nie jąkał. Zresztą wszystko jedno, zacina się czy nie zacina, Mały nie zatelefonuje. To jedno jest pewne.

— I wiesz co, Tomciu? Niech Małgorzata przyjedzie o ósmej pod pralnię.

— Jaką pralnię?

— Tę na rogu.

— Z okupem?

— Coś się tak przyczepił do okupu, Tomciu?

— To po co ma przyjść pod pralnię?

— Nie twoja rzecz. I tak tego nie zrozumiesz.

Tego Mały okropnie nie lubi. Ciągłe słyszy, że czegoś nie rozumie, że to nie jest dla takich smarkaczy jak on, że za trudne, że za mądre, że dzieci i ryby głosu nie mają. Dużo, bardzo dużo jest takich spraw, które są przed nim zamknięte na siedem spustów i cztery patentowe zamki. Ale kiedy mama, ojciec, Gośka, ciocia, wujek Heniek albo dziadek utrzymują, że nie rozumie, w porządku, przez osiem lat przyzwyczaił się, że im wolno tak twierdzić, ale jakie prawo ma ten głupi porywacz, żeby decydować, co Mały może pojąć, a co nie?!

— Nic nie będę mówił — oświadcza.

— Pięknie. Będziesz siedział tutaj, aż się namyślisz. Mamy przecież bardzo dużo czasu. Prawda?

— Będę siedział — mówiąc to, czuje obrzydliwą szorstkość w ustach i głód. — Czy możesz mi dać wody?

15

Wspinając się na palce, porywacz wyjmuje z szafki kubek z niebieskim kwiatkiem na wypukłym brzuszku, a Mały rozważa to, co przed chwilą usłyszał.

Po co Gośka ma przyjść pod pralnię, jeżeli nie chodzi o okup? Pralnia jest poza osiedlem, w starym wyszczerbionym domu; dziadek twierdzi, że te szczyrby są od kul, jeszcze z wojny; dziadek wie, co mówi, był partyzantem, na wyblakłej fotografii trzyma konia za uzdę, ma karabin i biało-czerwona opaskę na ramieniu. W takim starym domu może ukrywać się mafia albo jakiś gang, przestępcy lubią zaślepiłe okna i schody przeciwpożarowe. Tylko czy tam są takie schody, podobne do drabiny, biegnące po murze?

Co ma robić Gośka przed starym domem? Też będzie porwana? O, to będzie trudna sprawa. Gośka nie da się porwać.

— Nalać ci, Tomciu, soku?

Mały nie jest pewny, czy w ogóle wolno jeść i pić u porywacza, przypomina mu się, że do herbaty można wsypać truciznę albo środek nasenny, ale jest taki spragniony i głodny, że wykreśla z pamięci informacje o zatrutej herbacie.

Zresztą nie będzie pił herbaty, tylko wodę z sokiem.

— Smakuje ci, Tomciu?

— Mhm — potwierdza pełnymi ustami.

To naprawdę jest bardzo dobry sok, babcia umie robić taki sam, herbatniki też są dobre, kruche, z cukrem.

— Zjedz i idziemy telefonować.

— Zadzwoń sam.

On się denerwuje, na pewno się denerwuje, bez sensu rozpina i zapina suwak przy kurtce; jak będzie tak mocno szarpał, to urwie.

— Czy ja cię proszę o coś złego, Tomciu? Czy chcę, żebyś mówił nieprawdę?

Powiesz tylko, że jesteś porwany. Bo naprawdę jesteś porwany. Mam rację?

— Chyba jestem — zgadza się Mały.

— To powiedz to siostrze.

— A ty nie możesz?

Tamten przestaje szarpać suwak.

- Nie mogę.
- Dlaczego?
- Bo nie.

16

Głupio, że w tym domu nie ma nikogo, oprócz nich dwóch. I głupio, że nikt nie przechodzi uliczką za siatką oplecioną dzikim winem.

Na osiedlu, w blokach, jest inaczej, ktoś zjeżdża windą, ktoś biegnie po schodach, ktoś trzaska drzwiami wejściowymi, szczekają znajome psy, a na ławkach, przy osiedlowych uliczkach zawsze ktoś siedzi i zawsze jakieś dzieciaki bawią się w piaskownicy albo gonią pomiędzy połamanymi krzaczkami róż. Jak ktoś by krzyknął na osiedlu, zaraz zebrałyby się cały tłum, z okien powychylałyby się głowy, tutaj można krzyczeć i krzyczeć, nie usłyszy cię nikt.

— Tobie, Tomciu, pewnie się wydaje, że to taka zabawa. — Głos porywacza twardnieje. — Ale mylisz się. Zostałeś porwany. Musiałeś oglądać takie filmy. Coś chyba pamiętasz?

— Oni chcieli okupu. Ty nie chcesz.

— To co z tego? — Porywacz odwraca się, jakby chciał ukryć twarz przed Małym. — Różnych rzeczy można chcieć.

— A czego ty chcesz? — Z palców obejmujących kubek spływa w Małego jakieś pokrzepiające uczucie, dobrze jest obejmować fajansowy brzuszek z niebieskim kwiatkiem. — Co to jest to, czego chcesz?

— Od ciebie nic, tylko, żebyś zatelefonował.

— A od Gośki?

— Odczep się, Tomciu.

Gośka wie o Małym wszystko albo prawie wszystko, jest jakby bliżej niż mama i ojciec, trudno coś ukryć przed Goską. Wie, że się wyjadło miód ze słoika, że się popchnęło Lidkę, uprzykrzoną skarżypytę, że się ma znowu w dzienniczku wpisaną uwagę, że się przyciskało po kolei dzwonki przy wszystkich drzwiach na piętrze i że się zrzuciło słoik po kompocie prawie na głowę właśnie wchodzącego do bloku pana listonosza.

Gośka zachowywała się różnie. Czasami brała na siebie winę za wyjedzenie miodu albo delikatnie przygotowywała mamę do przeczytania uwagi w dzienniczku, czasem zjeżdżała na drugie piętro, by podjąć trudne rokowania z babcią Lidki — skarżypytą, a czasem bezlitośnie kablowała mamie i ojcu to, co Mały wolałyby przed nimi zataić.

Gośka bywała humorzasta, umiała się obrazić nie wiadomemu komu; a wtedy potrafiła i przez tydzień nie odezwać się ani słowem. Nie raz i nie dwa przyłożyła bratu bolesnego klapsa albo

2 — Dwaj mężczyźni i ona

17

mu szczypa z zakrętasem. Kiedy wstępowało w nią лихо, zaciągała siłą Małego do łazienki i myła mu szyję i uszy w taki sposób, iż graniczyło z cudem, że uszy jednak pozostały uszami, miast przemienić się w smutne poszarpane frędzelki.

Tak, Mały mógł mieć do siostry różne pretensje, ale Gośka to była Gośka i on nie pozwolił zrobić jej krzywdy. Trudno odgadnąć, co wymyślił porywacz, ale jedno jest zupełnie pewne, porywacze nigdy nie obmyślają niczego dobrego.

— Idziemy, Tomciu.

— Gdzie?

— Do telefonu.

— Nie idziemy.

Przez moment patrzą na siebie, porywacz na Małego, Mały na porywacza. Tamten pierwszy odwraca wzrok.

— Ostrzegam cię, Tomciu, że to nie zabawa. Sam tego chcesz. Kiedy Mały dorośnie, spuści lanie każdemu, kto będzie mu groził.

Jeszcze nie wie, czy będzie karateką czy dżudoką, czy będzie trenował boks czy kung-f u, teraz może się tylko wyrывać, gdy zostaje pochwycony zgiętym ramieniem. Porywacz dłonią dusi krzyk wzbierający w gardle, pół niesie, półwiecze Małego po schodach prowadzących do piwnicy.

— Tutaj poczekasz, Tomciu, aż przyjdzie ci rozum do łepetyny. — Skąd on wziął ten włochaty szalik, którym obwiązuje twarz Małemu? — Przykro mi, ale poczekasz w nieprzyjemnych warunkach, może to przyspieszy nabieranie rozumu?

Nie poprzestawszy na zakneblowaniu szalikiem, porywacz wiąże ręce Małego, bardzo mocno wiąże, zaciąga starannie węzły.

— Jak już zmądrzejesz, kopnij w drzwi. Ja usłyszę.

Z puchatego szalika kłaczki dostają się do ust i do nosa, Małemu chce się kichać, płakać też miałby ochotę, ale nie robi przyjemności porywaczowi, tego tylko brakuje, żeby go znalazł zapłakanego, kiedy wróci.

Sznur wrzyna się w przeguby. Mały widział taki film, w tym filmie więzień przegryzł jeszcze grubszy postronek, on nie przegryzie, bo niczego nie można przegryźć przez gruby wełniany szalik. Chytrze obmyślane. Czy porywacz miał ten szalik i sznur cały czas przy sobie? Wtedy, kiedy zatrzymał się pod trzepakiem, też?

Siedząc na podłodze, Mały wlepia wzrok w drzwi. Jakby to był film, drzwi by się otworzyły i do komórki wbiegłby policjant, spiesząc Małemu na ratunek. Później wspólnie zatrzasnęliby kajdanki na dłoniach porywacza i Mały powiedziałby tak, jak zawsze mówią wtedy w filmach: „Ostrzegam, że od tej chwili wszystko, co pan powie, może być wykorzystane przeciwko panu”. Na ulicy czekałby już policyjny wóz z kogutem na dachu.

Ale tych drzwi nikt nie otworzy, nie zdejmie kłaczki szalika, nie rozplącze węzłów na sznurze ściągającym boleśnie przeguby. Pan sierżant Walczak nawet nie wie, że Mały jest porwany, Gośka też nie wie.

Więc można tylko siedzieć i czekać, aż wróci porywacz. Jak trzeba, Mały posiedzi całą noc i nie będzie płakał, Mały nie jest beksą.

Wcale nie płakał, jak ta wstręciucha, Lidka, wyrwała mu umyślnie z zeszytu dwie kartki. Wychowawczyni bardzo się rozgniewała, gdy położył przed nią osobno zeszyt, osobno kartki.

— Dlaczego to zrobiłeś?

— Same wypadły.

— Akurat! — prychnęła gniewnie, zapisując coś w notesie. Jakby zapisała w dzienniku, Mały wiedziałby co, notes był niedostępny, wychowawczyni nosiła go zawsze w torebce.

Nie płakał wcale i tego dnia, kiedy taki jeden Robert z ósmej klasy podniósł go w szatni za włosy.

— Popłacz sobie, kajtku, dobrze ci robi.

— Nie muszę płakać. Wcale nie bolało.

Od tej pory Robert omijał Małego, chociaż popychał innych małych, wykręcał im ręce i rył głęboko w ich torbach, szukając pieniędzy. Roberta bali się wszyscy, nawet pan woźny przezornie schodził mu z drogi, udając, że nic nie widzi i nic nie słyszy.

Swoją drogą, jakie dziwne myśli przychodzą do głowy, kiedy się siedzi z twarzą

ściśle obwiązaną szalikiem i wyciągniętymi przed siebie, związanymi w przegubach rękami. Przez okienko wpada niewiele światła, musi się już zmierzchać, widoczny w kwadracie ram skraweczek nieba jakby poszarzał. Ile czasu minęło od chwili, kiedy został porwany?

Czy Gośka wróciła już do domu?

Mama czasem gniewa się na Goškę. Gośka wraca o dziesiątej, kiedy miała być najpóźniej o ósmej, nie lubi patrzeć na zegarek, wydaje się jej, że ma zawsze mnóstwo czasu. Do liceum także się spóźnia, najczęściej w czwartki, bo w czwartek dwie pierwsze lekcje to matma.

19

Mały wie o tych spóźnieniach, mama nie, bo mama wychodzi przed siódmą, tata jeszcze wcześniej.

Dzisiejszego wieczoru nie powinna się spóźnić, obiecała opiekować się Małym, zdaje sobie sprawę, jakie on miewa pomysły.

Jak to było, kiedy wypuścił się z Jackiem do wesołego miasteczka? Na niebie świeciły już gwiazdy, gdy Gośka odnalazła go w tłumie przy diabelskim młynie.

— Jesteś tumanek, tumanek do kwadratu. Boże, dlaczego akurat ja muszę mieć brata szajbusa? Czy ty w ogóle umiesz myśleć? — I zaczerpnąwszy tchu, dodała: — Proszę bardzo, dla mnie możesz się zgubić na zawsze. Ale co powiedziałyby mama?

Właściwie wesołe miasteczko wcale nie było daleko od osiedla, ledwo trzy przystanki tramwajem, spod ich bloku można było zobaczyć ogromne koło diabelskiego młyna. Wieczorem miasteczko wydawało się dziwne i niezwykle. Paliły się rozwieszane na sznurach girlandy różnokolorowych żarówek, słonie i smoki na podświetlonej karuzeli wyglądały jakby uciekły z prawdziwej bajki, a bukiety papierowych kwiatów i butelki na strzelnicy wydawały się zupełnie inne niż przy słonecznym blasku, tajemnicze, jakby wcale nie były butelkami po winie obsypanymi pozłotką ani kwiatami z bibułki.

Nagadała mu w tramwaju, nagadała w drodze od przystanku, nagadała w windzie, nagadała jeszcze w korytarzu pod samymi drzwiami, ale w domu była w porządku.

— Ciebie, Gosiu, tylko po śmierć posłać — zdenerwowała się mama. — Czy naprawdę trzeba tyle czasu, żeby przyprowadzić Tomka od państwa Nowaków?

— Pan Nowak pokazywał film na wideo. Tomek chciał obejrzeć do końca. Ja też.

— Jaki film?

— Skąd mogę wiedzieć, jak przyszedł w połowie? Bardzo dobry film, wszyscy mają magnetowidy, tylko my nie. Jakbyśmy mieli, toby Tomek nie musiał chodzić do państwa Nowaków.

I mama nie spytała już o nic, bo kiedy zostało powiedziane, że wszyscy mają magnetowidy, zapomniała, co chciała wiedzieć przed chwilą, to zawsze działało. Tak, Gośka często stawała po stronie Małego, chociaż w pięć minut później mogła się z nim okropnie pokłócić, że jej zabrał długopis albo nie

20

pozbiarał klocków rozsypanych po podłodze. Z pomocą Goški najgroźniejsza zasadzka, największe niebezpieczeństwo — stawały się łatwiejsze do pokonania.

— Już się namyśliłeś?

Mały nawet nie zauważył, że porywacz uchylił drzwi.

— Kiwnij głową, jeżeli się namyśliłeś. Nie będzie kiwał. Nie chce.

Bezruch i milczenie zaniepokoiły tamtego. Pochylił się nad Małym, rozwiązał szalik.

— Zrozum, osiołku, że uporem nic nie zdziałasz. Czemu nie chcesz zatelefonować? Nic więcej, tylko zatelefonować.

Na to także nie dostaje odpowiedzi. Mały milczy.

— Mogę ci dać słowo honoru, że chodzi tylko o ten telefon. Myślisz, że mi przyjemnie wiązać kogoś i zamykać w piwnicy? Jakbyś nie był uparty, toby tego wszystkiego nie było.

— Rozwiąż. — Mały wyciąga przed siebie rękę.

Tamten zaczyna rozsypywać, nie może sobie dać rady z węzłami, trzęsą mu się dłonie, jakby sznur wrzynał się nie w przeguby Małego a jego własne.

— Zatelefonujesz?

Nie ma sensu siedzieć w tej komórce, okienko jest takie małe, że tylko mysz mogłaby się przez nie przecisnąć, po kątach czai się mrok, tam na górze jest jaśniej, tam istnieje możliwość ucieczki, tutaj, w piwnicy, Mały jest porwany naprawdę, jest więźniem.

A może by się zgodzić na zatelefonowanie do Gośki? Powinna coś wymyślić, jak się dowie, że porwano Małego, zawsze przecież potrafiła coś wykombinować.

W zasadzie Mały nie ma nic przeciwko używaniu telefonu. Kiedyś z Krzyśkiem i Darkiem zadzwonili do cukierni i zamówili czekoladowy tort. Bardzo duży. Z napisem „Dla Mamy” z różowego lukru.

— Pod jaki adres mamy odesłać? — zapytała pani z cukierni.

Darek, gapa, podał prawdziwy adres, mimo że uzgodnili, iż tort ma zostać odesłany pod adres babci Lidki-skarżypyty. Ciekawe, czy Lidka, wstręciucha, potrafiłaby odgadnąć, kto obdarzył ją takim prezentem. Darek, gapa, wszystko popsuł.

Draka była nieludzka, rodzice Darka zapłacili za tort, ale natychmiast wszczęli energiczne śledztwo. Małemu też się nielicho oberwało, kiedy

21

wyszło na jaw, że pomysł zamówienia tortu wyszedł od niego. To, co go wtedy spotkało, jeszcze i dzisiaj uważał za wyjątkową niesprawiedliwość. On by podał ten adres, jaki był umówiony.

Takie myśli przelatują błyskawicznie przez głowę Małego, nie ma między nimi tej jednej, najpotrzebniejszej, są jak stado wróbli, świergotliwe, furkotliwe, rozpierchające się na cztery strony świata. Przecież musi być jakiś sposób uwolnienia się od porywacza!

— Czy masz ochotę tutaj nocować? Ostatni raz, Tomciu, daję ci szansę. Weź to łaskawie pod uwagę.

Jeśli zgodzi się na ten telefon, będzie zdrajcą. Zdrajców Mały zna z telewizyjnych seriali, zdrajca jest zawsze gotowy wbić komuś nóż w plecy, sprzedać za pieniądze najważniejszą tajemnicę albo nocą otworzyć przed nieprzyjacielem bramy obleganego zamku. Zdrajca potrafi zepchnąć z łodzi swojego najlepszego kolegę na krę lodową, spływającą nurtem wezbranej rzeki i pozostawić go swemu losowi. Czy pójdzie z kawałkiem lodu na dno, ześlizgnie się spieniony wir, dobije gdzieś do lądu, zdrajcy to nie obchodzi. Małemu nie wolno zdradzić Gośki, nie wolno zawierać żadnych umów z porywaczem.

Ale jeżeli nie zgodzi się na telefon, będzie czekał w zamknięciu nie wiadomo na co i nie będzie mógł ostrzec Gośki, że i na nią czyha niebezpieczeństwo.

— Rusz się, Tomciu.

— Dobrze. — Mimo wszystko jakoś trzeba się wydostać z tej piwnicy, to najważniejsze.

— Nie mogłeś zdecydować się wcześniej? Po co ci to było?

— Tobie było.

Porywacz spuszcza oczy, chce się uśmiechnąć, ale z uśmiechu nic nie wychodzi,

wargi wyciągają się w smutnym grymasie.

— To ty mnie związałeś tutaj.

— Zgoda, Tomciu. Nie jestem w porządku. Ale inaczej nie mogłem.

Dalsza wymiana zdań nie ma sensu, to tylko strata czasu, im prędzej Mały wyjdzie z tej komórki, tym lepiej, zaraz się zrobi zupełnie ciemno, we wrześnie mrok wydaje się czekać zaraz za progiem; nim się dopali wąski pas zachodu na widnokręgu, już zmierzch otula ziemię.

Pokój jest ogromny, pewnie zmieściłoby się w nim całe mieszkanie, które zajmują mama i ojciec, Gośka i Mały.

22

W tym ogromnym pokoju wzdłuż ścian stoją regały obciążone książkami, tych książek jest więcej niż w szkolnej bibliotece, niektóre są bardzo grube.

— To twoje książki?

— Coś ty, Tomciu! Mojego ojca.

— A gdzie jest twój ojciec?

— Na działce, Tomciu. — Porywacz przymruża powieki. — Moi starzy wyjeżdżają w piątek i wracają w niedzielę wieczorem. Czy teraz rozumiesz, ile mam czasu?

A więc porywacz ma matkę i ojca, to dobrze, jakoś łatwiej teraz z nim rozmawiać, kiedy się wie o nim coś zwyczajnego. Mały dotąd nigdy nie zastanawiał się, skąd biorą się porywacze, co robią, jak żyją i w ogóle, teraz już wie, że mogą mieć rodziców, psa, pożyczoną motorynkę, mieszkać w domu z ogrodem i pijać wodę z malinowym sokiem. To nie jest dużo, ale to już jest coś.

Jeszcze niepewny do końca, czy to, co dostrzega, jest prawdziwe, Mały zauważa, że środkowa część okna, zajmującego prawie całą frontową ścianę, jest nie domknięta. Świadczy o tym ledwie widoczna szczelina między ościeżami i to, że uchwyt nie jest odchylony na bok.

Jest taka gra, która nazywa się „kim”, gdzie przez moment pokazują ci ułożone na stole różne rzeczy: zapałki, chustkę do nosa, dli/gopis, agrafkę, kartkę papieru; tych rzeczy jest bardzo dużo, przypatrujesz się im, potem musisz wyjść. Jak wracasz, te rzeczy są przykryte, a ty musisz powiedzieć, jakie one były i jak leżały. Tata Krzyśka twierdzi, że Mały jest bardzo spostrzegawczy, żaden z chłopaków przy grze w „kima” nie dorasta Małemu do pięt.

Żeby tylko porywaczowi nie przyszło do głowy przyjrzeć się dokładniej oknu!

Pestka skoczyć w dół, pestka wspiąć się na siatkę, Mały przechodził ze sto razy przez jeszcze wyższe ogrodzenia, nawet przez to, na którym wisiał groźny napis „Budowa. Obcym wstęp surowo wzbroniony”, a placu strzegł dozorca w barakowozie i dwa jazgotliwe psy. Nim psy i dozorca dobiegli na środek placu, Mały dawno był po drugiej stronie.

W ogrodzie jest wprawdzie Rambo, ale gdzie jest powiedziane, że waruje akurat nod oknem? Bokserzy biegają szybko, ale Mały też szybko biega, do siatki ledwie kilka kroków, prawie na pewno zdąży się wspiąć dostatecznie wysoko, żeby Rambo nie mógł dosięgnąć.

23

Czym zając porywacza, aby oszedł chociaż ze dwa kroki dalej? Kiedy stoi obok, nie ma mowy, żeby podbiec do okna. Tylko co wymyślić?

— Umowa stoi? — Dobrze, że telefon jest daleko od okna, na regale. — I wiesz co, Tomciu, zmienilem koncepcję. Niech Małgorzata nigdzie nie przychodzi, kiedy jej powiesz, że jesteś porwany. Nic więcej, powiedz tylko to. Później sam cię odwiozę do twojego domu.

Tędy wiedli, chytrusa! Sam chce odebrać ten swój okup; pewnie się boi, że Gośka

zdaży w porę zawiadomić sierżanta Walczaka.

Dziadek zawsze powtarza, że ten się śmieje, kto się śmieje ostatni. Byle się wydostać z tego pokoju, porywacz Małego nie dogoni, nie tacy jak on próbowali go pochwycić i nic im z tego nie wyszło. Tomek ma charakter w nogach, mawia wujek Heniek. W klasie nikt tak nie biega jak Mały, bez trudu zostawia wszystkich daleko w tyle.

Niech on wreszcie pójdzie do tego telefonu, nie będzie chyba stał do rana tak na samym środku, czekając nie wiadomo na co!

— No, to start. — O co znów chodzi porywaczowi?

Wygląda, jakby się czegoś bał, z nich dwóch to Mały ma prawo do strachu, nie on.

— Czy umiesz wykręcić numer, Tomciu?

— Nie umiem — kłamie gładko Mały. Chwila, na którą czeka tyle czasu, jest tuż-tuż.

— Dobra. Ja wykręcę, ty będziesz mówił.

jest dobrze, jest lepiej, niż można było przypuszczać, tamten stawia jeden, drugi, trzeci krok ku regałowi, nie zwracając uwagi, czy Mały idzie za nim.

Gdyby to miało jakiś sens, można by powiedzieć, że porywacz wygląda jak zahipnotyzowany, takie same oczy miała ciocia Halina, kiedy oglądała w telewizorze występy pana Kaszpirowskiego. On mnie zahipnotyzował, tłumaczyła się mamie, Goście i Małemu.

Pewnie jak się zbliża moment otrzymywania okupu, porywacze zaczynają się mocno denerwować, a jak się już bardzo zdenerwują, zapominają nawet o porwanym.

Z parapetu spada doniczka, gdy Mały szarpie ku sobie skrzydło okna. Sam nie rozumie, jak to się stało, że jest już w ogrodzie, na grządce pod oknem. Głupio upadł, na plecy; to nic, zrywa się i kilkoma długimi susami dopada siatki.

Gdzie Rambo?

Akurat, gdy Mały dopada siatki, po przeciwnej stronie uliczki zatrzy-

24

muje się samochód. Wspinający się ku górze Mały jest dobrze widoczny w świetle reflektorów. Czy to dobrze, czy źle?

Nim zdaży przerzucić nogi na drugą stronę, skądś pojawia się Rambo, nie szczeka, nie warczy, tylko ciska się całym sobą w górę jak wystrzelony pocisk. Mały pochwycony za stopę, spada do ogrodu.

Leży nieruchomo, pies go okracza czterema łapami, nad sobą ma dyszącą paszczę i czarny kartofel przypląszczonego nosa. Nie wiadomo skąd dobiega Małego pytanie:

— Nic ci się nie stało, chłopczyku?

Dziwne, ale pyta go jakaś kobieta. Nim Mały zdaży odpowiedzieć, ta pani zwraca się do kogoś innego:

— Dlaczego pan nie odwoła psa? Widziałam, jak się rzucił na dziecko. To niedopuszczalne!

Do kogo mówi ta kobieta?

— Leżeć, Rambo!

To jest głos porywacza, Mały poznałby go i w piekle. Na ten głos bokser pochyla wielki łeb i liże Małego ciepłym, wilgotnym jęzorem po policzku.

— Tutaj powinna być tabliczka ostrzegająca przed złym psem — denerwuje się ta kobieta, która stoi na ulicy po drugiej stronie siatki. — Inaczej kiedyś dojdzie do nieszczęścia.

Mały wspiera się na łokciach, już wie wszystko.

Ta pani musiała wysiąść z samochodu, który stoi z nie wyłączonymi światłami po

drugiej stronie uliczki, porywacz zaś wygląda z tego samego okna, przez które wyskoczył Mały. Rambo trąca łapą, zaprasza do zabawy tak samo jak pudel Kajtek, dog Ariel czy wyżeł Drops. Rambo wcale nie jest zły, Mały bał się go zupełnie niepotrzebnie.

— Naprawdę nic ci się nie stało? — chce wiedzieć ta pani zza siatki. — Nie potłukłeś się? Nie skaleczył cię pies?

I znowu zwraca się ostro w stronę otwartego okna:

— Dziwię się, że pan tak spokojnie na to patrzy. Dziecko było w wielkim niebezpieczeństwie.

A co by było, gdyby powiedzieć tej pani o porwaniu? Mały nie jest skarżypytą jak ta paskudna Lidka, teraz da sobie radę sam, bez niczyjej pomocy.

— Nikt nie kazał temu chłopcu przechodzić przez płot — tłumaczy się z okna porywacz; w mroku nie widać twarzy, tylko obrys ciemnej

25

sylwetki. — A co do psa — to jest najbardziej przyjacielski pies na świecie.

Ta pani jeszcze coś mówi, podczas gdy Mały eskortowany przez radośnie podskakującego Ramba, otwiera furtkę. Do rogu pójdzie sobie powolutku i spokojnie, a kiedy zniknie porywaczowi i nieznajomej z oczu, włączy trzeci bieg.

Porywacz nie może go ścigać, dopóki ta pani stoi przy ogrodzeniu, to jasne.

Długo Mały biegnie wąskimi uliczkami, kluczy i zawraca, nie zna tej części miasta, tutaj nie ma sklepów, budek z lodami ani wesołego miasteczka, dlatego ktokolwiek poza mieszkańcami tych domków miałby tutaj przyjeżdżać?

Ciemno, w tej ciemności mżą niepewnym światłem latarnie, jaśniejsze są okna ukrytych w ogrodach domów.

Mały czuje się niepewnie na tych pustych uliczkach; nie, to nie strach, ale trzeba kogoś zapytać, jak dotrzeć do domu. Gośka już pewnie przyciska jeden dzwonek za drugim, wędrując od drzwi do drzwi i wypytuje, co się z nim stało. Biedna Gośka! Przyobiecowała mamie, że się zaopiekuje młodszym bratem i zamiast dotrzymać obietnicy, poleciała na spotkanie z jakimś chłopakiem oczywiście.

Za nic Mały nie traciłby czasu na spotkania z dziewczynami, one piszczą, boją się pajaków, żab i myszy, nie mają pojęcia o grze w kapsle, wymijają łukiem psy, przechwalają się kurtkami, spodniami i torbami, i bez przerwy skarżą. Jakby Mały musiał nosić za Lidką torbę, jak to robią koledzy Gośki, chyba umarłby ze wstydu albo się zapadł pod ziemię.

Po co mu takie głupie myśli? Też jest się nad czym zastanawiać, szkoda czasu.

Biegnie już długo, jest zmęczony. Czy nikt wieczorem nie chodzi tymi uliczkami?

Wreszcie jakiś pan objaśnia: po skręceniu w lewo dojdzie do przedszkola, za przedszkolem druga uliczka w prawo wyprowadzi go prosto na przystanek tramwajowy.

— Wsiądziesz na czwartym. I pamiętaj, mały, żebyś uważał przy przechodzeniu przez jezdnię. Na skrzyżowaniu nie ma, niestety, świateł.

— Będę uważał. Dziękuję panu.

Dopiero czekając na tramwaj, Mały doznaje uczucia prawdziwej ulgi, odpływa napięcie i lęk, niepewność i bezradność, ważne jest to, że

26

wygrał z porywaczem, na pewno z nim wygrał! Szkoda, że nie może teraz zobaczyć jego miny, żadnego okupu nie będzie, porwany uciekł, za chwilę policja znajdzie się na tropie, już w tym Małego głowa. Tamten może się wypchać i pomalować na zielono, tak mawia wujek Heniek, jak ktoś się zachowa niczym ostatnia łamaga.

Gdyby nie inni czekający na tramwaj, Mały z przyjemnością fiknąłby Koziółka albo stanął na rękach.

Nie załamał się, zrobił porywacza w łaciatego kucyka, chociaż tamten jest starszy od Gośki. Myślał pewnie, że Mały ze strachu zrobi wszystko, co mu każą zrobić, a tu, figa z makiem!

I do głowy temu głupiemu porywaczowi nie przyjdzie, że Mały zna jego adres. Jak ta pani zza^siatki gniewała się, że nie ma tabliczki o złym psie, Mały spojrzął fia taką niby-latarzkę wiszącą przy wejściowych drzwiach. Powie o tym Gośce i panu sierżantowi Walczakowi, tamten już nikogo nie porwie, spokojna głowa. Mały jest taki dumny z siebie, że chętnie oznajmiłby wszystkim pasażerom tramwaju razem i każdemu z osobna:

— Uciekłem porywaczowi. Naprawdę. Zaraz wszystko opowiem. To było tak... Ale nie mówi nic.

Gdy widzi znajome mruganie neonu nad sklepem z butami, czuje się jak żeglarz, który po długiej tułaczce po bezkresnym morzu dotarł wreszcie do bezpiecznego portu.

Na piątym piętrze oświetlone okna, tam jest Gośka. Na początku pewnie będzie jej trudno uwierzyć w to, co Mały ma do opowiedzenia.

— Nie polewaj, Mały — poprosi. — Ja już dawno wyrosłam z ????? nkó w.

Ale później posłucha, że graliśmy w kapsle i przyjechał taki jeden na wiśniowej motorynce. Możesz zapytać Krzyśka, Pawła i Darka, że tak było. Nawet Jacka możesz zapytać, jeśli chcesz.

— Tomek... — Zza murka przy piaskownicy wynurza się porywacz; Mały powinien krzyczeć lub puścić się pędem do drzwi bloku, ale nagłość tego pojawienia po prostu go sparaliżowała. — Nie bój się, Tomek, łyso mi. Widzisz, pokłóciliśmy się z Małgorzatą. Przychodziłem po lekcjach pod liceum, telefonowałem, nawet napisałem list. Wszystko na nic. Strasznie obrażalską masz siostrę.

27

Niby Mały słyszy, co mówi tamten, ale nie rozumie, słowa przepływają obok niego, nic nie znaczące, jakby wymawiane w cudzym języku.

— W końcu się tak wpieniłem, że przyszło mi do głowy, że jakbym ciebie porwał, toby Małgorzata musiała ze mną rozmawiać. Ona ciebie, Tomciu, bardzo lubi.

To dziwne, że stoją naprzeciwko siebie przy piaskownicy, na wymarłym nocnym osiedlu, pod setkami oświetlonych okien.

— Chciałem ci jakoś to powiedzieć, ale potem wydawało mi się, że będzie lepiej, jak będziesz myślał, że naprawdę zostałeś porwany. Z ciebie, Tomek, trudny pasażer, Małgorzata miała rację. Opowiadała mi o tobie, wiesz?

Mały milczy. Co można powiedzieć porywaczowi, który tylko w pewnym sensie jest porywaczem i któremu nie chodziło o okup, tylko o Gośkę?

— Ja cię przepraszam i za komórkę, i za szalik, i za sznurek. Za wszystko przepraszam. Kiedyś sam zrozumiesz, jak to jest. Gniewasz się na mnie?

Małgorzata mówiła, że chciałbyś mieć rower. Tak się składa, że mogę ci go dać. Łapa, Tomciu, na zgodę. Dobrze?

— Nie chcę roweru. — Mały z trudem opanowuje swój głos, gdzieś odleciała niedawna radość ze zwycięstwa nad tym chłopakiem, który przygarbiony i przez to jakby mniejszy niż jeszcze godzinę temu, tłumaczy, dlaczego musiał go porwać. — Idź sobie — dodaje, bo tamten nie rusza się z miejsca.

I porywacz odchodzi. Mały słyszy warkot silnika motorynki, który powoli cichnie, roztapia siew mroku okrywającym ulicę.

Czy tamten bał się tego, co Mały opowie Gośce?

A może jest zupełnie inaczej? Może dlatego przyjechał, że chce, by Gośka się dowiedziała, co zrobił dla niej. Jakby nie chciał, poprosiłby Małego, żeby nic nie mówił. Więc chce, żeby Gośka wiedziała.

No i bardzo dobrze. Mały też chce, żeby wszyscy wiedzieli. Kiedy opowie o tym, co się wydarzyło, inni mali popękają z zazdrości, będą go pokazywali dorosłym i dzieciakom z całego osiedla:

— To jest Tomek, który był porwany. Chodzi do mojej klasy. Krzysiek z nim siedzi w jednej ławce.

Pani z budki, w której Mały kupuje balonówkę, przechyli się przez ladę:

— Jesteś prawdziwym bohaterem, Tomku. Wybierz sobie, którego chcesz, lizaka.

28

Obcy ludzie zaczepią mamę:

— Musi być pani dumna ze swojego synka. To nadzwyczajne, że taki mały chłopiec dał sobie radę w sytuacji, w której niejeden dorosły nie miałby pojęcia, co robić.

Może nawet pani wychowawczyni oświadczy przy całej klasie:

— Pomyliłam się co do Tomka. Powinniście brać z niego przykład. To mogłoby być bardzo ważne, dotąd nigdy nie stawiano go za przykład, a wręcz przeciwnie.

Tak czy tak, pierwsza o wszystkim za chwilę dowie się Gośka. Już teraz można^obie wyobrazić, jak będzie słuchała z szeroko otwartymi oczami, czasami wtrącając pytanie:

— A ty co wtedy zrobiłeś? Nie bałeś się? A on co na to? Rzeczywiście tak mu odpowiedziałeś?

Przed naciśnięciem dzwonka Mały czuje się jak żołnierz powracający z bitewnego pola, chęć zdania relacji po prostu go rozpira. Przez całą osiem długich lat nie przytrafiło mu się nic podobnego. Czy Krzysiak, Paweł albo Darek, a nawet sam Jacek, umieliby się zachować jak on, Tomek, zwany ciągle nie wiadomo dlaczego Małym?

Nim wciśnie palcem przycisk dzwonka,, nieoczekiwanie przypomina sobie porywacza, ale nie w tamtym domu, tylko przy piaskownicy, takiego przygarbionego i przepaszającego. Gośka się z nim pokłóciła. O, to Mały rozumie, ile razy sam kłócił się z Gośką. I nie tylko z Gośką. Ta wstręciucha, Lidka, wraz ze swoją przyjaciółką, Karoliną, cały czas mają do niego jakieś żale i pretensje. Żeby chociaż raz naskarzyły na innego chłopaka. Cały czas tylko:

— Proszę pani, Tomek mnie popchnął. Tomek ciągnie mnie za włosy. Tomek się przezywa, Tomek wołał za mną: „Ty hipopotamie z zieloną trawą”.

Prawda, zepchnął Lidkę umyślnie ze schodów. Prawda, wyrwał Karolinie garść włosów. Prawda, przezywał i Lidkę i Karolinę i jeszcze taką piegowatą Dorotę z IIb, ale fakt, z dziewczynami trudno się dogadać. Lidka jest taka, że kiedyś, jak dorośnie, być może zamknie w piwnicy jej brata tylko po to, żeby jej zrobić na złość. Po prawdzie Lidka nie ma brata, tylko siostrę, ale to nie ma znaczenia. Mały już nieraz opracowywał plany dokuczenia Lidce; w projekcie było włożenie do jej torby żywej ropuchy albo posmarowanie jej krzesła specjalnym klejem, na tubce było napisane, że klei wszystko, nawet szkło i żelazo, chciałby zoba-

29

czyć, jak Lidka odrywa od siebie krzesło albo jak odrywają krzesło od Lidki.

Ale czy chciałby, żeby wszyscy wiedzieli, co zrobił Lidce? Wcale by nie chciał.

I ta głupia Karolina wygaduje niestworzone rzeczy, że on, Tomek, zwany Małym, chodzi za Lidką. Też miałby za kim chodzić.

Porywacz porwał go przez Goškę albo dla Goški, sam się przyznał. Więc Mały nie ma się czym chwalić, bo to nie był prawdziwy porywacz ani prawdziwe porwanie. Nie było także okupu, listu wyciętego z gazetowych liter i chyba nie było prawdziwego niebezpieczeństwa. Co taki nieprawdziwy porywacz mógłby więcej zrobić poza obwiązywaniem twarzy szalikiem, a przegubów sznurkiem? Jak zna Goškę, to Goška powie, że mógłby wymyślić coś mądrzejszego, a nie takie bajeczki dla debili. Mały nie ma pojęcia, kim są ci debile, o których wspomina Goška, ale ona lubi to dziwne słowo. I w ogóle nie wiadomo, czy Goška się ucieszy, czy odwrotnie, obrazi wiadomością, że to z jej powodu Mały został porwany. Więc może najlepiej, żeby tego nie wiedziała. Milczeć będzie o motorynce, domu w ogrodzie, bokserze Rambo, szaliku i sznurku. Jasne, że będzie nieładzka draka za nocny powrót do domu, Goška pokrzyczy, pokrzyczy i da spokój. Zaraz zostanie obmyślona inna historia. To było tak: na motorynce przyjechał starszy brat kolegi z klasy IIa. Powiedzmy, że ten kolega ma na imię Sławek. A może lepiej Marcin? Dobra, niech będzie Marcin. Więc u tego Marcina, który mógłby mieć na imię Sławek, akurat był placek ze śliwkami i gra komputerowa, taka, w której ludzik błądzi po labiryncie ścigany przez duchy, czarownice na miotle i stado nietoperzy. Czy można się dziwić, że dla Małego czas stanął? I Goška wcale się nie dowie, co tamten chłopak zrobił dla niej. Dziewczyny nie muszą wiedzieć o takich sprawach.

Z tym postanowieniem Mały przyciska dzwonek. Tak jak przypuszczał, spada na niego ulewa gniewnych słów:

— Co to za spacer po nocy! Tym razem nie upiecze ci się na sucho! Tym razem powiem mamie, przekonasz się! Jutro się krokiem z domu nie ruszysz! Ja się denerwuję, a ciebie nic nie obchodzi. Dlaczego nie zatelefonowałeś? Jakbyś miał trochę oleju w głowie, tobyś zatelefonował!

Zatelefonować. Zatelefonować. Zatelefonować.

Czy dziewczyny są w stanie zrozumieć cokolwiek?

30

ROZDZIAŁ DRUGI

«

TERAZ na spacer z Rambem najczęściej chodził nad Wisłę albo na zarośniętą burzanem i chaszczami górę, która spływała ozorem wału ku dalekiej ulicy. Góra i wał stanowiły część trasy, jaka ongiś miała połączyć odległe dzielnice miasta. Przez kilka lat buldożery sapiąc silnikami popychały przed sobą zwaly ziemi, strzaskane wanny i sedesy, betonowe płyty, pocięte garnki i foliowe wory, aż usypały to, co zaplanowali inżynierowie. Potem albo zabrakło pieniędzy, albo zmieniły się koncepcje, a usypane kurhany wraz z obwałowaniem pozostawiono trawie, pokrzywom, kłującym ostowi, kudłatej wierzbie i wszelkiemu zielonemu drobiazgowi.

Nad rzeką Rambo obszczekiwał bezczelne rybitwy, nim rzucił się pręgowanym cielskiem o wodę. Z wyraźną przyjemnością pływał wśród cuchnącej piany i trudnych do określenia resztek.

— Ten pies obrzydliwie śmierdzi. — Matka mogłaby z powodzeniem pełnić rolę organoleptyka. O tym, że istnieje taki dziwny zawód, Michał dowiedział się z jakiegoś czasopisma. To posiadacz nadzwyczaj wrażliwego powonienia, który za

niemałe pieniądze ocenia dziesiątki tysięcy aromatów, żeby komponować z nich perfumy doskonale jak fraza Bachowskiej kantaty.

Gdyby Rambo wszedł na korytarz lub do kuchni, w uwadze matki nie byłoby nic dziwnego, ale bokser leżał przy furtce, trzymając łeb na wyciągniętych przednich łapach, zmęczony i podrzemujący.

— Znowu chodziłeś nad Wisłę.

— Chodziłem.

— Szczególne upodobanie. Może masz notoryczny nieżył nosa?

— Nie mam kataru.

— Dwaj mężczyźni i ona 33

— No, to nie rozumiem, jak możesz tam wytrzymać.

Wypraw na zarośnięty wał matka także nie lubiła, chociaż powody były zupełnie inne.

— Przecież tam pod każdym krzakiem odchodzi gustowna biesiada. To nie jest Monet. Panie i panowie mają takie więcej sympatyczne buziaki, a w koszyczku zamiast chablis — swojskie żytko.

przesadzała. Owszem, tu i ówdzie w burzanach popijano, grano w karty i toczono jakieś trudne do zrozumienia dysputy, czasem pełne pijackiego rozżalenia, czasami w tonacji błazeńskiej, czasem wojowniczej. Gdy przed uczującymi zastygał Rambo, podnosząc fagle nad kłami, nieodmiennie rozlegało się:

— Weź no tego psa.

— Co to jest, takiego bydlaka puszczać bez kagańca!

— Zabierz go, jak rany, bo mu łeb urwę!

— A pójdziesz, ty! Amator salcesonu się znalazł.

pręgowany bokser był dobrą ochroną, dużo lepszą niż gazowy pistolet, nunczak czy sprężynowiec, ale matka widocznie uważała, że Michał jest chłopczykiem, który powinien odbywać spacerki po parkowej alejce pod czujnym okiem kogoś dorosłego. Na szczęście była zbyt zajęta, żeby organizować mu czas podług swoich koncepcji, ograniczała się do wyrażania niezadowolenia i dezaprobaty.

— Łazisz po wertepach i łazisz. Dlaczego nie zapiszesz się do klubu?

— Nie ma w okolicy drużyny harcerskiej? Koła turystycznego? To by było coś do sensu, nie takie bezsensowne marnotrawienie czasu.

— Weź się za angielski, wuj pewnie cię zaprosi prędzej czy później. Tamiza, Michałku, nie Wisła. Ty masz już siedemnaście lat! Nie musisz szukać tajemniczej wyspy.

Matka była tłumaczką. Wyjeżdżała i przyjeżdżała, przywoziła czasem różne fajne rzeczy. Jeszcze w podstawówce Michał miał najrajcowniejsze dresy, pomarańczowe i czerwone czapeczki z daszkiem, koszulki z nadrukami i prawdziwe adidas. On pierwszy zamiast torby zarzucał na barki zgrabny plecaczek i on częstował dziewczyny i chłopaków taką gumą do żucia, jakiej nie sprzedawano na żadnym bazarze.

pom był rozległy, rodzice przez cały dzień nieobecni, więc nic dziwnego, że drzwi się nie zamykały. Przychodziło się do Michała słuchać

34

kaset albo grać w „Magie minera” czy „Battle of Britain”, po ekranie biegał mały ludzik poprzez groźne labirynty, za ludzikiem sypały się głązy, zapadały schody, z prawa na lewo lub z lewa na prawo przelatywały czarne nietoperze lub szpiczastonose czarownice na miotłach.

— Trochę ciszej, jeśli łaska. — Zza uchylonych drzwi głos ojca pobrzmiwał skargą. — Weźcie pod uwagę, że nie wszyscy w tym domu marnują czas.

Na co dzień ojciec nie wtrącał się do tego, co robił Michał. Czasami wydawało się, że nie bardzo wie, skąd się wzięło takie wyrośnięte chłopaczysko pod tym samym dachem. W momentach oprzytomnienia zadawał pytania, jakie uważał za odpowiednie dla stroskanego rodzica.

— Co tam w szkole?

— W porządku.

— Masz jakieś plany?

— A jakie mam mieć?

— Przecież będziesz coś studiował.

— Jeszcze nie zaraz. Najpierw ogólniak. — Tak odpowiadał dawniej, teraz wyjaśniał cierpliwie, że najpierw matura.

— No, tak — poprawiając okulary, ojciec zastanawiał się, czy powinien jeszcze o coś zapytać, czy wyczerpał już limit.

— To mówisz, że bez problemów?

Podczas spełniania swoich obowiązków ojciec był nieinteresujący, ale zdarzało się, że to Michał zagadywał go o kwazary, czarne dziury, promieniowanie kosmiczne, mgławice czy loty komet, wtedy rozkwitał. Opowiadał z zapałem, kreślił trajektorie orbit, zabierał ze sobą syna na przechadzkę po bezkresach wszechświata, z poufałą czułością wskazywał najwspanialsze gwiazdy w galaktykach, zapalał czerwone karty, prostował drogi zagubionych księżyców. W takich chwilach Michał był prawie dumny z ojca, co nie znaczyło wcale, żeby w dni powszednie interesował się jego poczynaniami lub nim samym.

Zresztą i on, Michał, nie miał zbyt wiele czasu. Przynajmniej od kiedy znalazł się w liceum.

— Wpadniemy do ciebie.

— Chciałbym przesłuchać kasetę.

— Obalimy po piwku. Nie łamiesz się chyba?

— Joaśka chce ciebie poznać.

35

— Masz, Kaśka do ciebie napisała. Obiecałem, że oddam do rąk własnych.

Dziewczyny przychodziły ze swoimi chłopakami albo bez nich, słuchały muzyki, tańczyły, śmiały się i wychodziły, nim przy furtce radośnie zaszczeakał Rambo, oznajmiając powrót jednego z rodziców. Taka była niepisana umowa, że goście znikają przed pierwszym zmierzchem. Zebrawszy puszki po piwie i opakowania po sokach, Michał wynosił je do blaszanego pojemnika przy furtce i zakrywał gazetami, bez wyrzutów sumienia i strachu, raczej dlatego, by nie wzbudzić obaw matki. Piwo to alkohol, alkohol to nieodpowiednie towarzystwo, nieodpowiednie towarzystwo to demoralizacja, demoralizacja to narkotyki i przestępstwo, przestępstwo to więzienie... Przez prawie siedemnaście lat poznał matczyne obawy aż za dobrze. Lepiej jednak przykryć te puszki, mała fatyga, wymierne korzyści. Bywało, że jakaś dziewczyna zostawała dłużej, tamci już wychodzili, a ona prosiła o notatki, zeszyt albo coś w tym guście, zresztą nieważne pod jakim pretekstem zostawała, ważne, że i ona, i Michał wiedzieli, co jest grane.

Początkowo aż rozsadzała go duma, uważał, że to, co go spotyka, jest prezentem, jaki otrzymuje od czasu. Był jednak mocno zdziwiony, kiedy taka jedna Joanna rozplakała się, siedząc z podkurczonymi nogami na jego tapczanie, podczas gdy Freddie Mercury prowadził czystą muzyczną frazę, dźwięczną i pulsującą rytmem.

— Tobie na niczym nie zależy.

— Skąd ci to przyszło do głowy?

— Mogę być i mogę zniknąć. Pewnie byś nawet nie zapytał, co się ze mną stało. —

Na policzkach dwie mokre smużki, powieki lekko obrzękłe od łez. — Nawet jakbym umarła.

— Rozpaczałbym, gdybyś opuściła ten padół płaczu. Nosiłbym kiry i chodziłbym z bukietami na grób.

Sam sobie zdawał sprawę z nieszczerzej dziarskości tej odpowiedzi. Było mu żal tej Joaśki z powiekami opuchniętymi od płaczu, powinien jej odpowiedzieć całkiem inaczej, rozumiał to dobrze, a mimo to gadał niepotrzebnie dalej:

— Lubisz lilie? Dziewicom na grobowej płycie składa się lilie. Ale może wolisz jakieś inne badyle? Zradź mi swoje preferencje, a postaram się zadowolić twoje wymagania, nawet gdyby to miały być orchidee w świetle księżycy.

36

i>- Debil jesteś! — Powinna była rzucić to gniewnie, a nie tak miękko j niezdecydowanie. — Kompletny imbecyl.

___- Surowo mnie osądzasz, o pani, ale ja świadom własnej niedoskonałości uważam, że i tak mnie przeceniasz. Rzeczywiście jestem imbecyl. A nawet gorzej.

Ona mu chciała wtedy coś ważnego powiedzieć, ale on, Michał, bał giętego, co mógłby usłyszeć, więc zrobił wszystko, by to najważniejsze nie zostało wypowiedziane, by Joanna zabrała te słowa ze sobą. Zresztą płakała na jego tapczanie ten jeden jedyny raz, później przestała przychodzić, nawet na korytarzu szkolnym mijała go bez słowa albo odwracała się ku ścianie, udając zainteresowanie zdjęciami w gablocie czy tablicą z życiorysem patrona.

Inaczej z Magdą. Ta złamała zasadę konspiracji i poczęła się pojawiać, kiedy w domu byli już rodzice, i jakby tego było mało, telefonowała o różnych porach.

— Dzwoni twoja dziewczyna — uśmiechała się domyślnie matka. — Pospiesz się.

— Przy telefonie leży kartka. Madzia prosiła, żeby ci przekazać, że ma grypę i jutro jej w liceum nie zobaczysz.

— Jakaś panienka czekała na ciebie prawie godzinę. — To ojciec informował o kolejnym posunięciu Magdy. — Bardzo sensowna. Wybiera się na medycynę. Wreszcie taktyka Magdy doprowadziła do tego, że matka nie mówiła o niej inaczej jak „twoja dziewczyna”. Twoja dziewczyna telefonowała. Twoja dziewczyna była tutaj. Rozmawiałam z twoją dziewczyną.

Wychodziło na to, że matka zakochała się w Magdzie, lub przynajmniej została przez nią zauroczona. Niechby tylko Michał zapomniał zatelefonować albo nie spełnił jakiegoś życzenia Magdy, zaraz matka zaczynała mówić, że twoja dziewczyna, że twojej dziewczynie, że twoją dziewczyną i w ogóle, że jak się ma dziewczynę, to trzeba stanąć na wysokości zadania. Z bliżej nie sprecyzowanych powodów, matka zaakceptowała Magdę i wydawała się zadowolona, że jej syn ustabilizował się uczuciowo w sposób satysfakcjonujący wszystkich. Lekka paranoja, wzięwszy pod uwagę, że poza długimi nogami, wdzięcznym leciutkim seplenieniem, sporą dozą nie tyle rozumku, ile spryciku, Magda była nijaka. Zaś wyplątanie się z matni, którą tak zręcznie przygotowała, było równie niemożliwe, jak ucieczka z kotła pełnego wrzątku, naokoło które-

37

go oczekuje posiłku stu zgłodniałych ludożerców. Całe liceum, poczynając od smarkaczy z pierwszej, wiedziało, że Michał chodzi z Magdą.

Trochę mniej ludzi, ale i tak chyba ze dwie setki, było świadomych, że to nie jest zwykłe chodzenie, tylko poważna sprawa, Magda bardzo dbała, by tak właśnie rzecz postrzegano.

Zachowywała się po trosze jak faworyta królewska, jak najuprzejmiej proszona, by możliwie dyskretnie wymknęła się z apartamentów władcy, a która z maksymalnym

łoskotem i skrzypieniem odsuwała wrzeciąże głównych drzwi i stawała przed tłumem dworzan, strażą pałacową tudzież lokajstwem, przyozdobwszy oblicze ekstatycznym uśmiechem.

Przez Magdę upolowany został w drugiej, mniej więcej w połowie roku, zaraz po tym, jak przestała przychodzić splotkana Joanna.

— Po co ci te hopki?

— O czym ty mówisz, bo nie wiem — mrugała rzęsami, ale wiedziała doskonale, świadczył o tym cień uśmiešku w kącikach warg — co właściwie rozumiesz pod określeniem „hopki”?

— Prowadzoną przez ciebie kampanię reklamową pod hasłem dziewczyna roku i jej chłopak. Głupio się czuję jako dodatek do ciebie. Po prostu nie jestem godzien. Stać cię na coś dużo lepszego.

— Nie potrzebuję nic lepszego. Kocham cię, Michel. — Przez okamgnienie poczuł się jednym z bohaterów „Dynastii”. — Możesz mi wierzyć, tak właśnie jest.

— Wątpię, jakoś nie czuję w tobie pożogi uczuć.

— Bo jesteś poprzeczniak. — Uśmiezek zgasł, nad brwiami pojawiła się gniewna zmarszczka. — Albo chciałbyś się wyprzeć tego, co jest między nami.

Mógłby powiedzieć, że właściwie nic szczególnego nie ma, ostatecznie nie tylko Magda słuchała muzyki na jego tapczanie w pustym domu, którego pilnował pręgowany bokser Rambo, ale tego akurat nie potrafił z siebie wykrztusić, więc uśmiechając się półgębkiem udawał, że w pełni akceptuje rolę, która została mu przypisana. Było przecież wielu takich, którzy zazdrościli mu Magdy, odprowadzali zachwyconym spojrzeniem każdy krok jej nóg obciągniętych legginsami za kolana lub przystrojonych w kolorowe getry. Nie nosiła džinsów, za to szorty i bermudy prezentowała niczym modelka z okładki luksusowego pisma. Pewnie gdyby nie został tak idiotycznie przytrzaśnięty w pułapce, także

38

by uważał, że Magda jest seksowna i starałby się pochwycić jej uśmiech podczas odrętwiałej nudy na lekcji historii (historyk uznawał tylko daty!) albo pocziwych pogadank katechety, którego gorszono z obowiązku, zadając z głupia frant krępujące pytania. Po każdym z tych pytań można było podziwiać rumieniec, który wybijał purpurą spod koloratki, amaran-towił szyję i wypełzał łuną na policzki.

Przez całe półrocze nie potrafił strząsnąć słodkich okowów, jakimi go spętano, aż wreszcie pogodził się z losem. Ta czy inna, co wreszcie za różnica?

Lubił zapach włosów Magdy, gładkość skóry, przyzwyczał się do nijakości tego, co myślała i mówiła. Prawdę powiedziawszy, to zamiary na przyszłość miała pozytywne, stomatologia, a konkretnie protetyka, fach popłatny, zapotrzebowanie zawsze jest i możliwości kariery są także.

— Żebyś wiedział, że minister jest protetykiem!

— Jeśli to on Kuroniowi zrobił protezę, to nie mam do niego zaufania. Na kilometr widać, że zęby sztuczne.

— Wieczny malkontent.

— Kto? Kuroń czy minister? -Ty.

I żyliby sobie dalej szczęśliwie i spokojnie, gdyby nie dyrektorka liceum. Już nie pamiętał, po co go właściwie wezwała, zdaje się, że chodziło o przygotowanie programu na zakończenie roku, zresztą może było to coś zupełnie innego. Nieważne. W autobusie zobaczył jedną z tych smarkatych z pierwszej, które dyrektorka wraz

z nim postawiła przed swoim obliczem. Zagadał do niej, smarkata odpowiedziała i tak się jakoś stało, że wysiadł razem z nią.

— Mieszkaś gdzieś tutaj? — spytała bez ciekawości.

— Nie. — To dziwne, ale poczuł, że się czerwieni, jakby został przyłapany na czymś wstydlivym. — Podobno gdzieś tutaj jest... — przez chwilę krótką jak ruch powieki zastanowił się, co powinien powiedzieć — podobno jest szewc.

— Po drugiej stronie. O tam, w pawilonach.

— Dzięki. Ty też przechodzisz?

— Nie, ale ty musisz przejść tutaj. Dalej jest ogrodzone torowisko.

— Ubóstwiam przechodzić przez ogrodzone torowiska. Jakbyś mnie lepiej znała, wiedziałabyś o tym.

39

Spod kosmyków opadających na czoło błysnęło kpiarskie spojrzenie.

— Tylko nie licz na to, że położę cię jak dywanik przed tapczanem, kiedy zostaniesz rozjechany.

— Skąd w tobie tyle okrucieństwa?

— Jeszcze nie zauważyłeś, że jestem demoniczna, niebezpieczna i groźna? —

Dołeczki na policzkach pogłębiły się. — Nocami przemieniam się w wampira i unoszę w ciemnościach, przy nikłym świetle księżyca szukając kolejnej ofiary.

Potem naprawdę musiał przejść przez wysokie ogrodzenie torowiska, starał się to zrobić z nonszalancją, prawie od niechcienia, przekonany, że ona śledzi każdy jego ruch. Kiedy mógł się już odwrócić, okazało się, że odeszła, ani jej się śniło podziwiać jego ekwilibrystyczne wyczyny.

Liczył na to, że ta mała go odnajdzie, przecież wiedziała, gdzie go szukać.

Minęło parę dni i to on powędrował na drugie piętro, trochę zdziwiony tym, że brakuje mu widoku kosmyków opadających na czoło, wilgotnego błysku spojrzenia i tych dwóch dołeczków. Że chciałby posłuchać tego, co ona mówi, że pragnąłby doznać jeszcze raz krzepiącego poczucia, że jest silny, dorosły i mądry, bo coś takiego przyszło mu do głowy w chwili, kiedy odezwał się do niej w autobusie.

— Szukasz kogoś? — Musiała go zauważyć z daleka, ale, oczywiście, udała zaskoczenie jego widokiem.

— Nie, tak.

— Kogo?

— To zabawne, ale ciebie.

— Jest jakiś powód?

— Właściwie nie ma. Chciałbym pogadać z kimś normalnym.

— Boli cię dusza, a szczególnie prawy górny róg? Tak mówią u mnie w domu. —

Uśmiechnęła się.

— Dobrze mówią. Trafione w dziesiątkę. To jest akurat prawy górny róg.

Chyba nie była zaskoczona ani tym, że ją odszukał w rzeszy innych dziewczyn, ani tym, że tkwił w tłumie przewalającym się tam i siam poprzez korytarz, niezdolny ani odejść, ani odszukać tych słów, które powinny zostać powiedziane.

— O której kończysz?

40

To ona przejęła inicjatywę.

— Biolo zaniemógł, po pięciu lekcjach.

— Dobrze się składa, ja też. Poczekaj na mnie. Wyjdziemy razem. Na schodach do szatni wytłumaczył małodusznie Magdzie, czując coś w rodzaju obrzydzenia za swoje tchórzostwo:

— Muszę pogadać z taką jedną małolată. To córka przyjaciółki mojej matki.

Proszono mnie — to „proszono” wyakcentował dobitnie i przekonywająco — żebym przez nią coś przekazała, takie tam babskie tajemnice.

— W porządku. Nie ma sprawy.

Mimo to sprawa była. Magda ustawiła się tak, że musiał przejść obok' niej; zauważył, że zmierzyła uważnym spojrzeniem tę małą. Na jakimś filmie handlarz niewolników podobnie oceniał wystawionych na sprzedaż ludzi. Najwidoczniej jednak uznała, że nie ma żadnego zagrożenia, taka nieduża blondyneczka, pyzata, z dołkami, z zabawnie przyciętą czupryną.

— O czym chciałbyś pogadać?

— Tak w ogóle.

— I uważasz, że jestem normalna?

— Pewnie jesteś. Przynajmniej tak wyglądasz.

— Pięknie. Cała zamieniam się w słuch.

Wystarczyło, że to powiedziała, a Michał zapomniał, jak chciał nawijać, żeby ta mała słuchała tak uważnie, jak wtedy w autobusie, w bolesnej białej pustce podobnej do bezkresnej pustyni usiłował znaleźć coś, co pomogłoby mu odzyskać zwykłą elokwencję. Był wygadany, masz zadatki na niezłego adwokata, stwierdziła matka, byłby z ciebie doskonały sprawozdawca radiowy albo telewizyjny, konstatawała ciotka Irena, łatwość wypowiedzi nie zawsze idzie z rzetelnym opanowaniem materiału, krzywiła się polonistka, tym razem jednak słowa utonęły w przepastnej głębi, umknęły w myśłą dziurę.

— Jeżeli jesteś bardzo zepsiały, zaproponuję ci coś dziwnego. Chodźmy na cmentarz. W czerwcu jest tam bardzo pięknie.

Miał zamiar zaprosić ją na Big Maca albo na jakieś fajne lody, dostawał wcale hojne tygodniówki, potem mogły być Łazienki i przejażdżka taką śmieszna łodzią po stawie wśród łabędzi ozdobiście wyginających szyje. Do siebie zaprosi ją kiedy indziej, za parę dni, za tydzień, zresztą może nigdy. A teraz z wymyślonym przez siebie Big

41

Makiem i z wymagowanymi lodami poszedł za nią tam, gdzie go poprowadziła, w zieleń i w ciszę.

— Mnie jej żal. Była bardzo nieszczęśliwa.

— Kto?

— Maria Wisnowska. Aktorka. Prosiła kochanka, żeby ją zastrzelił. I on to zrobił.

— I żył długo i spokojnie bez niej?

— Żył, bo nie potrafił umrzeć. Był tchórzem.

— A serio, co się z nim stało?

— Skazano go na katorgę. Podobno jako starzec wrócił do tego grobu i umarł gdzieś tutaj, bezdomny włóczęga, człowiek bez nazwiska.

Pogłaskała końcami palców marmur nagrobka, w świetle przesianym przez liście jej oczy mignęły zielonym odblaskiem, a przysięgłby, że są niebieskie.

— Pewnie się zastanawiasz, skąd wiem takie rzeczy. Mamy w domu taką knypę o Powązkach, trzy tomy. Chodź, coś ci jeszcze pokażę.

Nagrobek niepozorny, pękata kolumna, napis głosił, że tu znalazła wieczny spokój Maria Muchanow.

— Kojarzysz?

— Niekoniecznie.

— O Marii Kalergis słyszałeś?

— Coś jakby.

- Muza Norwida. Podobno najpiękniejsza kobieta Europy. Adorował ją cesarz Napoleon III. Teofil Gautier napisał dla niej „Symphonie en blanc”.
- Poczekaj, bo utonę w oceanie wiedzy. Czemu ta Kalergis nazywa się Muchanow?
- Wyszła za generała Muchanowa.
- Po tylu poetach — generał?
- To był taki generał od teatrów. Nietypowy.
- Dobra jesteś w te klocki.
- Lubię tu przychodzić, a milej jest odwiedzać znajomych niż zupełnie obcych ludzi.

Jakiś krzak pysznił się mnóstwem złocistych puchatych kwiatów strojących delikatnie wygięte gałązki, wyglądał jak teatralna dekoracja umieszczona, by przystrajać smutną szarość kamienia.

42

- Odpsiałeś już trochę?
- Odpsiałem.
- No, widzisz. Spsienie familijne, szkolne czy sercowe? Nie, w tym pytaniu nie było wścibstwa, tylko życzliwość. — Ogólne, jeśli muszę sprecyzować.
- Gramy w ciuciubabkę?
- Mogłabyś trochę mniej enigmatycznie?
- No, to ci powiem, że trochę wiem o tobie, popytałam ludzi. — Głos jej stwardniał. — Co cię martwi? Nieciekawe wakacje u nudnej ciotki czy brak funduszy na kurtkę marines ze wszystkimi naszywkami i gadżetami? Wcale nie chciał, to wypowiedziało się samo:
- Odczep się. Nie twoja rzecz.

A gdy to już powiedział, przeraził się, że ona odejdzie i pozostawi go samego pośród szarych nagrobków i potężnych pni starych kasztanów.

- Przepraszam. Nie chciałem.
- To przynajmniej szczerze — parsknęła niczym rozgniewana kotka. — W takim razie moje usługi jako psychoanalitka są ci już niepotrzebne. Zresztą ja nie jestem Barbara Streisand z „Księcia przyływów”.

Nie miał pojęcia, kim lub czym była Streisand w owym księciu od przyływów (gotówki? oceanu? intelektu?), ale ta mała zaskakiwała go, ostatecznie dotąd porozumiewał się zupełnie niezłe z dziewczynami, rzecz można, zupełnie dobrze, to on narzucał i temat, i sposób dialogowania, a teraz gubił się żałością, jakby to on był smarkaczem, nie ona.

W milczeniu szli ku bramie, przekraczając smugi cienia przegradzające alejkę.

Nagle gdzieś z wysoka sfrunął ptak, a właściwie ptaszek, z długim ogonkiem, przycupnął na betonie odrobinką szarawej różowości.

- Rany boskie! Raniuszek! — Chwyciła go za rękę, zacisnęła mocno palce. — Widzisz?

— Widzę.

Furknęło, ptaszek zniknął w liściach kasztanowca, jej palce dalej ścisnęły jego dłoń.

- To taka najmniejsza sikorka. Strasznie rzadki. Cieszę się, że go zobaczyłam.

43

- Czy o raniuszkach także przeczytałaś w knypie poświęconej tej czcigodnej nekropolii? — Włożył w to pytanie sporo złośliwości, zaczęło go denerwować wymądrzanie tej małej, od wymądrzania był on sam.

— Mam dziadka leśnika. Poznaje wszystkie ptaki. Po śpiewie, po gniazdach i jak chcesz. — Teraz puściła jego rękę. — Już więcej nie powiem. Ale przynaj, że to

był fajny spacer.

Odprowadził ją pod szare bloczysko z oblażącymi farbą balkonami.

— Wcale nie jesteś taki, jak o tobie gadają. — Potrząsnęła głową, jakby czemuś zaprzeczała. — W praniu wypadasz lepiej, Michał. Czyj spróbujemy nowej lanzy? Znała jego imię, to coś znaczyło. Za to on nie miał pojęcia, jak się nazywa ta mała z pierwszej, która gładziła cmentarne kamienie i cieszyła się widokiem szaro-różowego ptaka.

— Jak masz na imię? — Pytanie było idiotyczne, ale przecież nie mogą rozstać się jak znajomi-nieznajomi. Jakoś musi ją nazwać w swoich myślach.

— Małgorzata.

Nie nazwała się Małgošką ani Gošką, ale dostojnie i poważnie Małgorzatą.

— To cześć, Małgorzato. Pójdziemy jeszcze kiedyś razem zobaczyć raniuszka?

— One nie przylatują na zamówienie. Cześć Michał. Wiesz, gdzie mnie szukać, jakby co.

Tyle że nie było już jakby co. Za kilka dni rozpoczęły się wakacje. Oczywiście widział Małgorzatę jeszcze kilka razy w szkole, na boisku i na korytarzu, wymienił z nią przyjazne pozdrowienia, ale wyglądało na to, że ona umyślnie schodzi z jego drogi, że dokłada starań, by zostało tak jak jest. Najdziwniejsze, iż ta powściągliwość prowokowała Michała do snucia przeróżnych pomysłów, każdy z nich miał sprawić, że Małgorzata wreszcie doceni jego towarzystwo, że stanie się podobna do innych dziewczyn.

Mógł dowolnie snuć plany. Małgorzata wyjechała. To znaczy Michał przypuszczał, że wyjechała. Spędził sporo godzin, obserwując wejście do bloku. Zjawiał się na tym osiedlu o różnych porach, niemożliwe, by w lipcowe upały przesiadywała przez cały dzień w domu, między cztery ma ścianami.'

44

— Przyjedziesz na Mazury? — To wcale nie było pytanie, Magda po prostu konstatowała fakt, że Michał przyjedzie. — Będzie fantastycznie.

— Nie chcę sprawiać kłopotu twojej familii.

— Na daczce są pokoje gościnne, żaden problem. Już mówiłam, że będziesz. Grasz w brydża? Ojciec się ucieszy. Czy mówiłam ci o łodzi? Na jeziorze jest wyspa, nawet spora. W zeszłym roku urządziliśmy tam biwak.

Obiecał, że przyjedzie, nie było sensu siedzieć wśród rozgrzanych murów, smrodu parującego asfaltu, spalin stojących oparem nad zakurzonymi liśćmi miejskich drzew. Wuj nie przysłał zaproszenia. Wyjazd z rodzicami na działkę odpadał w przedbiegach.

— Pewnie wuj się boi, że chciałbyś zostać — skomentowała matka. — Bez sensu. Przecież nie wyjedziesz na stałe bez matury.

Na cmentarzu, któregoś dnia przed wyjazdem, znalazł groby obu Marii. Bez obecności Małgorzaty gdzieś zniknął osobliwy nastrój tamtych godzin, mimo że palczaste liście kasztanowców były takie same jak wtedy, cienie kładły się w poprzek cmentarnych ścieżek, a w gałęziach drzew świergotały, kłaskały, pogwizdywały, trzepotały jakieś ptaki.

Wtedy zaczął chodzić z Rambem nad Wisłę i w chaszczce zarastające opuszczoną trasę. Chciał być sam, chociaż nie brakowało mu nigdy samotności, jeśli miał na nią ochotę, wystarczyło nie otwierać drzwi.

— Jedźże na te Mazury, jeśli cię zaproszono, snujesz się jak Marek po piekle.

Przykro na ciebie patrzeć.

W zasadzie matka miała słuszość, tylko on, Michał, codziennie łudził się, że spotka Małgorzatę. Każda trasa była pomyślana tak, żeby przeciąć tamto osiedle.

Ile razy pogwizdując na Ramba szedł ku grupie wielkich bloków, jeżących się licznymi antenami, tyle razy usprawiedliwiał się przed samym sobą, musi przecież dowiedzieć się, co zrobił, że ona tak starannie schodzi mu z drogi. I trzeba wyjaśnić, kto jej naopowiadał o nim tych bzdur. Już sobie Michał pogada z tym nieproszonym informatorem. A w ogóle, tędy jest bliżej i tutaj Rambo ma przyjaciela, nakrapianego kundla, z którym się kapitalnie bawi w ganiankę i zapasy w stylu wolnym. Psu też należy się jakaś frajda.

— No, już myślałam, że nigdy nie przyjdiesz. To jest Sebastian. Zostaw klamoty. Zaraz płyniemy na wyspę — usłyszał głos Magdy.

45

Słoneczny migot tańczył po ostrych grzbietach fal, z pióra spływały krople roziskrzone jak drogie kamienie, stada małych rybek uciekały przed czymś po płytkiej nagrzanej wodzie.

— Ja i Sebastian idziemy popływać. Ty rób co chcesz. Możesz iść z nami, możesz się opalać, możesz zwiedzać wyspę.

Nietrudno się domyślić, że niczego nieświadomy Sebastian gra rolę, którą obmyśliła dla niego Magda. Miał budzić zazdrość, miał uświadamiać, jak łatwo Michał może utracić to, co przywykł uważać za swoją własność.

Pływał nieszczęśliwie, tamci dwoje jak foki, co nie było niczym dziwnym, zważywszy, że oboje spędzali od pieluch wakacje nad jeziorem. Sebastian mieszkał za garbem wzgórza w domku letniskowym, polepionym z kolejno dobudowywanych komórek, jądrem tej plastrowa-tej konstrukcji był barakowóz. Sebastian był w porządku, niechętnie bo niechętnie Michał oceniał zalety rywala, nie w porządku była Magda, wygrywająca fascynację sąsiada i przyjaciela, powodowała ufnym Sebastianem, niczym niedźwiedź wielkim zwierzem prowadzonym za kółko przebijające nozdrza. On pozwalał prowadzić się bez żadnych oporów, z góry aprobując to, co Magda zechce zrobić, najdziwniejsze zaś, że owe matactwa z każdym dniem wywoływały coraz silniejszą irytację Michała. To się nazywa zazdrość, uświadamiał sobie samemu.

— Bawisz się świetnie. Po co mnie ściągałaś?

— Nie podoba ci się nasze jezioro?

— Podoba, ale wyobraź sobie, że mógłbym wyjechać zupełnie gdzie indziej. Tam, gdzie nikomu bym nie przeszkadzał.

— Ty o czym? — zadała pytanie tonem uciśnionej niewinności, a wiedziała, wiedziała doskonale, o co chodzi. — Nikomu nie przeszkadzasz. Moi rodzice cię lubią. Zresztą zawsze zapraszali moich kolegów.

— I zupełnie niepotrzebnie. Niektórzy nie muszą przyjeżdżać, mają kilka kroków do przejścia.

— Ach, o to biega. — Ruch dłoni, jakim oddaliła jego żale, oznaczał lekceważące zbycie tych pretensji. — Nie podoba ci się Sebastian?

— Daj spokój estetycznym kategoriom. Czy podoba mi się jezioro, las, łódka, Sebastian... — Narastało w nim głuche rozdrażnienie, chociaż właściwie obecność Sebastiana mogła być powodem do kłótni lub

46

zerwania. Dostatecznie dobrze znał Magdę, żeby wiedzieć, że przepada za scenami w konwencji melodramatycznej, prawie na pewno prowokowała coś takiego. — W roli piątego koła u wozu czuję się nie najlepiej. Albo, jeżeli wolisz, w roli trzeciego halabardnika prawie niewidocznego na tle kulis.

— Dla mnie ty jesteś najważniejszy, Misiaczkule. — Nazwanie go Misiaczkulem oznaczało, że postanowiła złagodzić napięcie. — Poproszę Sebastiana, żeby nie

przychodził, jeżeli cię to drażni.

— Drażni? Mnie drażni? — oburzył się naprawdę, mimo że rzeczywistość zadawała kłam temu oburzeniu. — Też wymyśliła! Dla mnie może być u was od wschodu do zachodu.

Więc Sebastian przychodził codziennie, tyle że Magda wykorzystywała każdą okazję, by chociaż przelotnie pocałować Michała, otrzeć się o niego, dotknąć. Nad jeziorem dłuższe sam na sam były niemożliwe, rodzice Magdy bez zbytej ostentacji jednak kontrolowali poczynania jedynaczki, zresztą prawie stale towarzyszył im Sebastian. Zjawiały się także zaprzyjaźnione z Magdą dziewczyny, chłopaki, skrzybiały wiosła w dulkach, szumiała trzcina w przybrzeżnych oczeretach, trzaskały pod stopami suche gałązki, kiedy przechodzili duktem pod czapami starych posepnych świerków. Wieczorami słońce kładło świetlisty most na wody, wydawało się, że można pójść po pulsującym złocistym blasku wprost w słoneczną tarczę, zapadającą w otchłań za widnokręgiem.

— Dobrze ci, Michel?

Nie cierpiał tego Michela, sto razy prosił, żeby nazywała go inaczej. A w ogóle, co można odpowiedzieć, kiedy się leży na brzegu, gniotąc sobą trawę i zioła, odurzony upałem, z półprzymkniętymi powiekami. Kitka trawy trzymana w Magdzinych palcach wędruje po jego twarzy delikatnie i czule, obrysowuje dotykiem usta, oczy, zarys brwi, skrzydełka nozdrzy. Magda pochyla się nad nim, jej włosy łaskoczą policzki.

— Dobrze ci? — powtarza.

— Dobrze.

W dole, za kępą olch, Sebastian majstruje przy łodzi, poczłapał tam na jej rozkaz, nie ośmieliwszy się nawet odwrócić głowy.

— Kochasz mnie, Michel?

Od dawna podejrzewał, że to pod wpływem oglądanych filmów nabrała obyczaju powtarzania miłosnych zapewnień, powtarzała je

47

często, niemal automatycznie, jak coś najzupełniej oczywistego, ale dotąd nie żądała, by i on zapewniał o swoich uczuciach.

— Zaniemówiłeś?

— Nie.

— Spytałam o coś.

— Wiem, o co spytałaś.

— Nie potrafisz odpowiedzieć? — Odsunęła się, oparła na łokciach. — Tyle czasu jesteście razem i nie wiesz, jak jest z tobą?

— Nie pytałaś o samoocenę.

— Nie wykręcaj się. Możesz powiedzieć, że ci nie zależy, że masz to z boku.

Dotąd ci pasował taki układ, możesz powiedzieć, że przestał.

Patrzył w jej twarz spod półprzymkniętych powiek, nie chcąc jej drażnić oceniającym spojrzeniem, dostrzegał drżenie warg, zauważał kreskę zmarszczki w kąciku ust, tej zmarszczki nie było tam nigdy, pojawiła się razem z wypowiedzianymi słowami.

— Daj spokój. O co właściwie chodzi? Paskudne jest uczucie jakiegoś rozdwojenia, jakby w nim było dwóch różnych Michałów, jeden uradowany możliwościami wypowiedzenia głośno prawdy, i drugi, zaniepokojony lub nawet przerażony bliskim zerwaniem, zastanawiający się, czy coś warto zmieniać, już z góry zbrzydzone koniecznością tłumaczenia kolegom, matce i każdemu, kto zechce wyjaśnień, czemu rozeszły się drogi jego i Magdy. Michał nie lubi akcentów dramatycznych, nie ma

pojęcia, co zrobić, jeżeli ona rozplacze się jak niegdyś Joanna. Niech więc wszystko zostanie tymczasem tak, jak jest.

W tym myśleniu przepływającym przez niego nagle pojawia się błysk źrenic, zielony od kasztanowych liści, palce głaszczące chropowaty kamień. Tu, nad jeziorem, zapomniał o Małgorzacie, przyblakła, prawie spłowiła chęć zobaczenia jej, dlaczego teraz powróciła myśl o tym, co pozostawało za siódmym borem, siódmą górą, siódmą rzeką?

Nie pomyślał o Małgorzacie ani razu od momentu przekroczenia furtki prowadzącej do Magdzinych nadjeziornych włości; czemu przypomniało mu się to właśnie teraz, kiedy trzeba dać odpowiedź na postawione pytanie?

Nim zza olch wynurzy się Sebastian z radosną nowiną, że uszczelnił przeciek na dziobie, Michał wypowiada to, co chce usłyszeć Magda. Wyznanie wymruczane, powściągliwe, połowiczne.

48

— Mężczyźni nie muszą gadać - opatruje Michał komentarzem swoje słowa. — Wy jesteście od gadania.

— Jesteś do tyłu. Ostatnio stwierdzono nadzwyczaj pozytywne oddziaływanie mówienia szczerze o swoich uczuciach. W Ameryce stwierdzono. Po co się domyślać, jeżeli można wiedzieć na pewno?

— Gdzie to przeczytałaś? w babskim kolorowcu?

— A jakby, to co?

Potem we troje, już z Sebastianem, dyskutują obyczaje panujące w obejrzanych filmach. Michała drażni kategoryczność wypowiedzanych sądów, ona wie lepiej, co zamierzał reżyser i co chciał przekazać scenarzysta, przekreśla umowność i konwencje, też mi źródło czystej prawdy te filmidła, z kina, z telewizji, z video.

— Niby z książek dowiadujesz się więcej? Nie dałam rady przeczytać „Trylogii”, omal się nie urwałam przy omawianiu, dobrze, że kupiłam dobrego gotowca, tam było wszystko, co trzeba. — Po wyłożeniu tych sądów, Magda dodaje z wyraźną intencją dokuczania: — Nie jestem taka intelektualistka jak ty, ale wiem, że żyjemy w cywilizacji obrazu, że nowoczesność to wizja, nie fonia.

Sebastian dorzuca coś o testowaniu inteligencji dzieci wychowywanych na obrazie telewizyjnym. Podobno wskaźnik jest zaskakująco wysoki, dużo wyższy niż w grupach kontrolnych, edukowanych metodami tradycyjnymi.

Jeszcze gdzieś w zakamarkach świadomości odzywa się echo dawno nie słyszanego dziewczęcego głosu, jeszcze miga wilgotne lśnienie tęczówek, potem wszystko znika.

— Do lekarza przychodzi facio i prosi, żeby mu wyciąć dwie trzecie inteligencji. Operacja się udaje. Po kilku miesiącach lekarz widzi swojego pacjenta na ekranie telewizora. Już został ministrem, a ma przed sobą jeszcze zaszczytniejsze perspektywy z teką premiera na czele.

Sebastiana można lubić. Bywa fajny.

— Podobno tamci sekretarze i ministrowie też byli koszmarni — stwierdza Magda, otrzepując szorty. — Ojciec tak twierdzi.

— Zal mi, że byłem szczyłkiem w stanie wojennym. Parę lat więcej i mógłbym też zawalczyć.

— A ja zawalczyłem. Nosilem ulotki. Nauczyłem się w umówiony sposób dzwonić do drzwi, dwa krótkie, dwa długie, jeden ciągły. —

4 — Dwaj mężczyźni i ona

49

Sebastian też wstaje w ślad za Magdą. — Jasne, nie miałem pojęcia, co noszę, ale wiedziałem, co mam mówić, jakby się czepiała milicja.

— A co?

— Że znalazłem i niosę pokazać mamie.

— No, to się zgłoś po odznakę kombatancką — radzi Michał. — Dostają tacy, którzy nawet z daleka ulotki nie widzieli, powinienes i ty mieć potwierdzony status bohatera.

Chichoczą wszyscy troje, biegnąc do łódki. Wieczorem pójda z ojcem Magdy do zatoki podzielonej jęzorem półwyspu, za każdym zapadnięciem spinningu będą przeżywali emocje łowieckie, weźmie, nie weźmie. Wracając posłuchają opowieści o ogromnych rybach, trochę zazdroszcząc, że to nie oni snują takie historie, kiedy na niebie dopala się ostatni pas zorzy, a zza pni, z wykrotów, oczeretów, wypełza na bezszelestnych łąpkach lipcowa noc.

— Zaproszenie odłożone na przyszły rok — donosi list z domu. — Wyjeżdżamy na urlop. Chcesz jechać z nami?

Nie chciał, wolał pozostać nad jeziorem. Wszystko widziane znad urwistego brzegu, o który rozbijała się fala, wydawało się dalekie i nieważne. Teraz nawet po trosze dziwił się chęci spotkania Małgorzaty, oczekiwaniu między ścianami wysokich bloczysk, wędrówkom w towarzystwie Ramba po zarosłych zielskiem pustkowiach. Po co? Dlaczego? Czy było w tej Małgorzacie coś innego niż w innych dziewczynach? Przy Magdzie wyglądała jak kopciuszek. Kiedy Magda wchodzi do wiejskiego sklepu, pijący piwo zawieszają kufle w połowie drogi między ladą a wargami i wlepiają maślane spojrzenia w każdy jej ruch. To do niego, Michała, Magda mówi Michel, to o niego jest zazdrosna, to on ma prawo ją przytulać i całować.

Nad jeziorem przechodziły letnie ulewy, siekące deszczem smutne olchy nad brzegiem, przewaliły się dwie czy trzy burze z wracającym pogłosem gromu, odbitym od ściany lasu, aż wreszcie trzeba powrócić do rzeczywistości, a wtedy okazało się, że jest zupełnie inaczej, niż było w ciągu tych kilku tygodni.

Szybko, bardzo szybko pojawiła się irytacja i poczucie przymusu, tym bardziej że Magda traktowała go teraz jak swoją własność. Więc towarzyszył jej wszędzie tam, gdzie kierowała swoje kroki, oglądał wystawy, stał między wieszakami pełnymi kolorowych szmat, wdychał zapachy perfumerii, wślizgiwał się w barwne smugi światła i rozedrganą

50

muzykę, smakował nowości wideo u kolejnych kolegów. Magda ubóstwiała horrory i opowieści o duchach, najbardziej ją rajcowały uchylające się ze skrzypieniem drzwi i ginące w mroku schody prowadzące do lochów pełnych zbutwiałych trumien.

— Jakby do tej spódnicy założyć skórzany pas... — obracała się przed lustrem. — A może lepiej bez pasa? A bluzkę wyrzucić?

— O, nie. Wcale nie tak, zaraz ci pokażę. ~__ Szeleściły kartki magazynu. — Francuski, pożyczylam od Izy. Tera? oko robi się trzema kolorami. Głównie brąz i złoto. Może być także róż, fiolet, srebro.

— Zapiszesz się na amerykański? Niewiele zwojujesz w Stanach z angielskim. Darek, mój kuzyn, opowiadał, że prze? parę tygodni niczego nie kapował, pięć lat u metodystów, rozumiesz, a tam oStatni cie" mniak. — Tak, umiała myśleć przyszłościowo, już sobie planowała życie. I dla niego, Michela, przy okazji też. Nim zdążyli wrócić rodzice, Michał podjął decyzję. Nie potrafiąc wyplątać się z sideł omotujących go ze wszystkich stron, nieudolny do otwartego sprzeciwu, zbrzydony swoją bezwolnością, obmyślił iście makiawelliczny plan.

— Zlituj się, synu. Przez dwa lata było w porządku i nagle musisz się przenieść?
Co się stało?

Nawet myślał, że matka sprzeciwi się z większą energią jego pomysłowi, że przekreśli jego argumentacje, wyśmieje, albo, co gorsza, odgadnie prawdziwe powody decyzji.

— Po co masz jeździć na drugi koniec miasta? Czy zdaj^ś sobie sprawę, że nowy uczeń jest zawsze w słabszej pozycji? ?? za 'c' kolegów? Nauczycieli?

Argumenty matczyne były akurat takie, jakich należało się spodziewać, zaś wezwany na odsiecz ojciec jakoś nie przeraził się pomysłem Michała, uznawszy za zupełnie zwyczajny fakt, że dwie ostatnie klasy potomek będzie przerabiał w innym niż dotychczas otoczeniu. Najwidoczniej, z perspektywy lat świetlnych i parseków, tego rodzaju sprawy tracą zupełnie ciężar gatunkowy.

— Załatw to przeniesienie, jeśli tak uważasz.

— Załatwię.

— W porządku.

Nie było żadnych rozmów, prób zatrzymywania, w rozgrzanych słońcem, wakacyjnych sekretariatach odebrał papiery, złożył ????????, nikogo

51

nie interesowało, dlaczego porzuca tamtą szkołę, by stać się uczniem tej.

Cała ta operacja nie tylko przebiegła względnie bezkonfliktowo i sprawnie, ale została w tajemnicy przed Magdą. Momentami czuł się paskudnie, niby jakiś oszust matrymonialny z filmowej komedii, uśmiechający się z rozczuleniem do małżonki podczas gdy spakowane waiizki już stoją przy drzwiach. Teraz tylko wymknąć się do przedpokoju, chwycić za bagaż i zamknąć za sobą na zawsze drzwi.

Ta ucieczka załatwiała bardzo wiele, może wszystko. Jak unikać kogoś, kto siedzi w tej samej klasie przy trzecim stoliku przy oknie, komu te same długopisy w tym samym dzienniku wpisują oceny, kto zna te same dziewczyny i chłopaków?

Znowu wrócił do samotnych spacerów z pręgowanym bokserem, ale teraz omijał tamto osiedle pełne wysokich bloków, wcale nie pragnął spotkać tej, jak jej tam, Małgorzaty. Czy miałby ją zabawiać opowieścią, że właśnie przeniósł papiery? Albo wspomnieniem wakacji nad jeziorem?

— Co się z tobą dzieje? — W telefonie głos Magdy brzmi niewyraźnie — Co ci znowu odskoczyło? Trzeci raz dzwonię. Pójdiesz ze mną po torbę, czy nie?

— Pójdę — stchórzył raz jeszcze. — Jasne, że pójdę.

— To czekam za godzinę tam, gdzie zawsze.

Niechętnie odrywał podeszwy od rozgrzanego słońcem asfaltu, w ostatnie dni sierpnia już ludzie zjechali się zewsząd i krążąc stadami kupowali długopisy, torby, notatniki, podręczniki, słowniki, mapy i inne szkolne dobra. Właściwie, po co idzie tam, gdzie zawsze, gdzie oczekuje go Magda? Może lepiej byłoby postawić sprawę jasno. Przeniosłem się. Dlaczego? Tak będzie lepiej. Ale dlaczego? Bo chcę być sam. Czemu chcesz być sam? A bo tak.

Poza owym „a bo tak”, nic mądrzejszego nie ma do powiedzenia. Jeżeli zostanie nazwany kłamcą, jest gotów pogodzić się z inwektywą. Ale tylko w pewnym sensie mijał się z prawdą, wcale tego nie chcąc. Czasami było im bardzo fajnie, czasami, a nie zawsze. To chyba polegało na tym, że ani ona nie była spragniona jego zwierzeń, ani on nie pragnął wiedzieć, co ona czuje i myśli. Kiedyś uznała, że trzeba mieć stałego chłopaka, a tak się złożyło, że akurat Michał najbardziej przystawał do wizerunku, jaki sobie wymyśliła. Szkopuł w tym, że nie miała

52

w zwyczaju oddawać tego, co przywykła uważać za swoją własność. Zresztą to

wszystko może nie być prawdą, chociaż tak wygląda z jego, Michałowego, punktu widzenia. Prawd absolutnych nie ma. Kochani, dwa razy dwa wcale nie musi równać się cztery, zwykł mawiać matematyk. Wszystko jest dyskusyjne, głosiła polonistka, odnalazłszy w wypisach fragmenty „Polskiego zoo”, czas dokonuje najprawidłowszych korekt, nawet jeśli sobie nie życzymy takich poprawek. Nie było jeszcze Magdy na umówionym przystanku.

— Hej!

— Hej! — odpowiedział i stanął twarzą w twarz z Małgorzatą, czekoladową od wakacyjnej opalenizny. Akurat podtoczył się autobus.

— Wsiadasz? — spytała.

— Wsiadam. — Nie miał pojęcia, jaki to numer i gdzie go dowiezie, to było zupełnie nieważne, tak jak nieważna była Magda, która będzie czekała. Po prostu musiał wsiąść do tego autobusu. Musiał i koniec.

Wciśnięci w kąty przy kasowniku wymienili wakacyjne wspomnienia.

— Próbowałem łowić. O, takie brały, jak palec. Rzuciałem albo z łodzi, albo z brzegu pod trzciny.

To on.

— Dziadek kazał mi trzymać lejce, a sam szedł z tyłu z widłami. Ale przewróciłam wóz. Spadłam z wysoka, siano mnie przysypało, przestraszyłam się, że się uduszę od tego zapachu.

To ona.

— Płynęłaś łodzią o zachodzie słońca? Wiesz, wydawało się, że można chodzić po wodzie, kiedy jest taki most ze światła.

— Widziałam żrebaka zaraz po urodzeniu. Taka bida, mokra, pokrwawiona, skurczona. W godzinę później stał na nóżkach, miał rewelacyjny ogonek, zjawiskowy ogonek i zjawiskowe uszka.

Jakby to było zupełnie oczywiste, wysiadł za nią, teraz już wiedział, gdzie zajechał.

— Znowu do szewca? — Uśmiezek prześlizgnął się tylko przez oczy, wargi zostały poważne.

— Dobrze, że się spotkaliśmy. — Tak odpowiedział na to pytanie o zelówki. — Myślałem, że mnie już nie pamiętasz.

— Pamięć mam jaką taką.

— Ja też nie cierpię na demencję. — Czy opowiedzieć, jak krążył

53

po tym osiedlu w pobliżu jej bloku przez pierwsze tygodnie wakacji? Uznał, że takie wyznanie byłoby ośmieszające. — W różne miejsca chodziło się z dziewczynami, ale na cmentarz nigdy. Przeżycie niezapomniane, tak to określe.

— Obmyśliłam je specjalnie dla ciebie.

— Serdeczne dzięki.

— Nie ma za co.

Chłopiec, który przemknął obok nich na deskorolce, coś krzyknął, co zabrzmiało jak „iiiiica”, rozmazane pędem powietrza.

— To mój brat.

— Ten mały?

— Bracia dzielą się na starszych i młodszych. Ja mam młodszego. Koszmarne stworzenie.

— Czemu koszmarne?

— Jak ci ktoś powycina ilustracje z podręcznika, schowa sznurowadła, wyrzuci wszystko z półki, zamieni twoją torbę na chomika, to będziesz wiedział, co

znaczy koszmarne stworzenie.

— To masz ciężkie życie z tym małym.

— Wcale tego nie powiedziałam. Tomek jest w porządku. Każdy był kiedyś koszmarnym stworzeniem. Ty też. I ja także.

Balansując deskorolką, chłopczyk przejechał sąsiednią uliczką, zgrabnie mu szło z łamańcami wyczynianymi w pędzie, są chyba zawody w tej dyscyplinie, mógłby tam pokazać, co potrafi.

— Jak będę miała pieniądze, to kupię Tomkowi rower. — Małgorzata patrzyła na wyczyny małego brata. — Dziadek jeszcze mnie obiecywał, że kupi, nic z tego nie wyszło, wyrosłam z roweru. Ale wiem, jak to jest, kiedy się czeka.

— Na rower?

— Dziwisz się? O tym się zapomina, ale chyba nigdy potem nie ma się takich marzeń, jak mają ci mali. Jakbym była czarodziejem, tobym spełniała tylko prośby dzieciaków, przynajmniej bym wiedziała, że rzeczywiście sprawiam komuś radość. Przecież nie było niczego niezwykłego w tych słowach, a mimo to odbierał je jak echo własnych myśli, bez oporu i lekceważącego rozbawienia, z jakim słuchał tego, co mówiły dziewczyny.

— Byłabym takim malutkim czarodziejem od roweru albo pluszowego miśka. Nie mogłabym rozdawać żadnych ważnych rzeczy, chociażby

54

dlatego, że bałabym się dać komuś coś zbyt cennego, czego by nie szanował, albo komuś innemu coś, co mogłoby się okazać złe.

Potwierdził ruchem głowy, tak, rozumie dobrze, o czym mówi Małgorzata.

Nie umówili się. Nie powiedzieli sobie nic ponad wakacyjne wspomnienia i uwagi nad marzeniami, które może spełnić czarodziej. Nie pożegnali się nawet. Po prostu ona odeszła, jakby usłyszała wołający ją głos, a przecież nikt nie wołał, nad osiedlem unosiło się psie na-szczekiwanie i krzyki bawiących się dzieci.

Jej brat stał w gromadce innych małych, podziwiając ciężarówkę mercedes. Mali dotykali lakieru i chromowanych listew, kłócąc się zawzięcie. Michał uśmiechnął się, uświadomiwszy sobie, że chłopczyk jest w śmieszny sposób podobny do Małgorzaty, nawet takie same wicherki włosówX)dstawały nad skroniami, dołeczki też miał, a jakżeby inaczej.

— Co się stało?

Słuchawka parzy palce, Magda jest wściekła. Nie zirytowana, nie rozgniewana, ale wściekła.

— Tak się złożyło, że nie mogłem. Przykro mi.

Stara się wygłosić swoją kwestię spokojnie i przekonywająco. Ma obmyślane różne wersje tłumaczeń, niektóre brzmią całkiem prawdopodobnie.

— To ja mam czekać jak idiotka, a tobie nie przyjdzie do głowy zawiadomić wcześniej, że ci coś wypadło!

— Kiedy to w ostatniej chwili, już nie było możliwości — decyduje się na wariant rodzinny. — Ciotka Julia złamała rękę. Odwoziłem ją z ojcem do szpitala.

— Rzeczywiście byłeś potrzebny do złamanej ręki?

Oj, niedobrze. Trzeba było powiedzieć o złamaniu nogi albo o nagłym ataku, powiedzmy, woreczka żółciowego. Ale teraz należy się upierać, że jego wsparcie było nieodzowne przy transporcie uszkodzonej do szpitala.

— A jak mogłem powiedzieć, że odmawiam?

— Nie kłam.

— Nie kłamię. Co ci strzeliło do głowy? Po co miałbym kłamać?

— Pogadamy. Przez tubkę nie da rady. Czekam przez godzinę, później wychodzę.

Trzask odkładanej słuchawki.

55

W pierwszym odruchu Michał postanawia pójść i szczerze postawić sprawę, przyznać się do ucieczki. Tak czy owak, za trzy dni Magda dowie się o tchórzliwej dezercji, o tym, że Michałowe miejsce jest puste, o ciuciubabce, w którą grał z nią przez ostatnie tygodnie. Nie można liczyć, że Magda zrozumie, na jej miejscu także trudno byłoby mu pojąć taki tryb postępowania. I nie można się łudzić, że w momencie uświadomienia, jak się mają rzeczy, zechce 2 pogardą wykreślić Michała ze swej pamięci. To znaczy, owo skreślenie jest możliwe, ale pod pewnymi warunkami. Michał dostatecznie dobrze zna Magdę, by zdawać sobie sprawę, że to ona powinna strącić go w nicość i podeptać niczym gniewny anioł maltretujący demona ciśniętego w czeluści z samego szczytu nieba. No i dobrze, godzi się na to. Niech go upokorzy, wyszydzi, ośmieszy przed ludźmi, niech zrobi co zechce, byleby mógł bezpiecznie zbiec z zakłętego kręgu, ukryć się choćby w mysiej dziurze, być taki, jak dawniej, nim zaczęto go nazywać chłopakiem Magdy. Nie znasz Michała? To ten, z którym chodzi Magda. Jaki Michał? Ten od Magdy. O kim mówisz? No, o tym, który łązi za Magdą. Kiedyś polonistka opowiadała o pochodzeniu nazwisk, o tym, że są specjalne sufiksy określające przynależność lub pochodzenie. Zgodnie z tym, Michał winien przyjąć nazwisko Magdziak, Magdzin, Magdziarz lub Magdziuk, bo tak się powinien nazywać Michał od Magdy. Dawno, wiele miesięcy temu, Magda napisała szminką na lustrze w przedpokoju MiM, wycierał długo tłustą, mażącą się czerwień; matka dziwiła się, czym tak, na litość boską, zapaćkał lustro. Zresztą to nieważne. Trzeba pójść i wreszcie przedstawić sprawę jasno, niech się dzieje, co chce.

Taki jest pierwszy odruch. Nim Michał odnajdzie klucze (zapodziały się złośliwie), nim napije się wody z sokiem (woda z sokiem malinowym jest dobra na wszystko), nim umyje ręce (nie będzie odbywał dramatycznych rozmów z brudem za paznokciami), coś się w nim zaczyna zwijać i kurczyć. Dzisiejszego dnia można już nie brać pod uwagę, jeszcze tylko dwa wschody i zachody słońca, i Magda będzie świadoma jego ucieczki. Co da wyjaśnianie tego, czego już odwołać nie można? Jeżeli przyjdzie... Nie, nie przyjdzie. Prawie na pewno nie przyjdzie, bo to on ma się stawić pod jej drzwiami. Można przyjąć, że nieobecność i milczenie to też sposób wyjaśniania pewnych spraw między ludźmi. Ktoś może skonstatować, że tak postępują tchórze, dobra, Michał z tym się zgadza. Inaczej postępowałby wobec uzbrojone-

56

go draba, broniłby z determinacją słabszych, mógłby być bohaterskim zwiadowcą, samotnym żeglarzem walczącym z bezkresem oceanu i własną słabością, himalaistą zdobywającym szczyty w wiecznym milczeniu śniegów, agentem igrającym ze śmiercią, szeryfem, łowcą duchów, pogromcą wampirów i zombi, proszę bardzo, mógłby stanąć twarzą w twarz z tym wszystkim. Z Magdą nie może.

Ponieważ nie ma stuprocentowej pewności, iż Magda nie pojawi się u niego, obmyśla chytry wybieg.

— Do ciotki? Nie chciałeś pojechać ze mną na imieniny, a tu nagle przyплыw rodzinnych uczuć. Oczywiście, jedź, jeżeli masz ochotę. Kup jakieś kwiatki. Rzec jest obmyślona perfekcyjnie. Ciotka jest posiadaczką dużego mieszkania, charakter ma bezkonfliktowy. Jeżeli Michał wyrazi pragnienie spędzenia pod jej dachem następnych dwóch dni, z pewnością wyrazi zgodę. Tam nie ma telefonu, to ważne, ale jest blisko poczta. Z tej poczty zadzwoni do domu i powie, że ciotka go zatrzymała. Wróci wieczorem ostatniego dnia sierpnia.

Realizacja planu poszła gładko, gdyż u ciotki bawiła jakaś przyjaciółka, Kanadyjka czy Amerykanka, okularzasta i gadatliwa. Obie ucieszyły się, doskonale, młody człowiek będzie przewodnikiem, o ile sympatyczniej jest zwiedzać miasto w towarzystwie Guida, zaś ciotka będzie mogła spokojnie iść do pracy, powierzwszy zabawianie gościa Michałowi.

Ta okoliczność sprawiła, że nietrudno było wyjaśnić matce, dlaczego zniknie na dwa dni.

— To dobrze. Staraj się skorzystać, szlifuj język. Stare Miasto, to jasne, Łazienki, Wilanów. Może zawiózłbyś panią Grace do Nieborowa albo Żelazowej Woli?

Dwa dni prowadził swoją towarzyszkę po turystycznych szlakach, zmęczony, ogłupiały i niechętny wybuchom jej entuzjazmu. Wszystko było wonderful, karpie w łazienkowskim stawie i posągi nimf w alejkach, sklepienie katedry i kamieniczki w Rynku, sale zamku i Kolumna Zygmunta, widok na Wisłę spod kościoła Świętej Anny i warszawska Nike, sypialnia królowej Marysienki i strzyżone szpalery wilanowskiego parku. Zachwyty pani Grace nieodmiennie kończyły się kwestią:

— To jest bardzo stare, nieprawdaż?

W domu czekała Michała niespodzianka.

57

— Kilka razy telefonowała Magda. Kiedy jej powiedziałam o przeniesieniu, wydawała się bardzo zdziwiona.

— Coś mówiła?

— Nic. Odłożyła słuchawkę. Taka dobrze wychowana dziewczyna, a tak niegrzecznie się zachowała. — Matka niepotrzebnie spojrzała na zegarek. — Mnie się to nie podoba. Spodziewałam się czegoś innego po tobie.

— Po mnie? Czemu właśnie po mnie?

— Doskonale wiesz, o czym mowa. /

— A o czym?

— Nie rznij głupa, synu. W waszym wieku pół roku to sporo czasu. Jak znam życie, pewnie się zakochałeś w kimś innym i chcesz uwolnić się od Magdy.

— W nikim się nie zakochałem!

— Nie krzycz. Nie jestem głucha. W konstatacji, że ktoś się zakochał, nie ma nic złego.

— To o co chodzi?

— Z grubsza o to, żeby przyzwoicie załatwić sprawy z innymi ludźmi. —

Podchodząc do okna, matka dodaje w przestrzeń: — Innym też bywa ciężko i przykro z naszego powodu, powinieneś już coś o tym wiedzieć.

Nowi ludzie, nowe korytarze, nowe klasy, nowi wykładowcy i on, Michał, czujący się obco i głupio wśród nieznanymi, rozgadanych rówieśników, obrzucany ciekawymi spojrzeniami bądź omijany z zupełną obojętnością.

— I jak było? — chce wiedzieć matka.

— Normalnie.

— Nie żal ci teraz?

— Nie.

— Bo wyglądasz, jakbyś siedem wsi podpalił i o ósmej zamyślał. Łącząc z Rambem pośród ogromnych liści łośpianu, różowo dokwitającej wierzbowki, pokracznie skręconej wierzby, Michał prawie pragnął, by z chaszczy wyłonił się typ błyskający ostrzem brzytwy i natarł na niego. Mógłby go tutaj zabić, na tym pustkowiu porośniętym zielskiem, może to by było wyjście z sytuacji, ostateczne i chociażby dlatego najlepsze z możliwych.

— Biedny Michel — westchnęła Magda.

— Nie mógł przeżyć rozstania — stwierdziłyby ze dwie setki ludzi z tamtego liceum, wprowadzonych w sercowe tajemnice Magdy Ljego.

— Tyle razy prosiłam, żeby tam nie chodził — zapłakałaby matka. — Nie posłuchał. A co by powiedziała Małgorzata?

To zresztą nie ma znaczenia. Ona już także wie, że Michał uciekł z korytarzy, boiska, klas i pracowni, że przemienił się w chłopaka z innej budy, kogoś obcego. Pewnie ani jato ziębi, ani grzeje.

No i pięknie. Jego także nie obchodzi to, co pozostawił za sobą. Weźmie się ostro do nauki, może rzeczywiście warto poszlifować język, jak sugeruje matka, tej okularzastej Grace prawie nie rozumiał, ona także słabo odbierała komunikowane przez niego treści. Pozna nowych ludzi, pewnie znajdzie inną dziewczynę, dziewczyn jest dużo, tym razem nie da się tak beznadziejnie złapać, sam wybierze.

— Nic wam nie zadają?

Podczas gdy matka dziwi się nadmiarowi wolnego czasu, Rambo obskakuje radośnie Michała. Rambo nie cierpi zamknięcia w ogrodzie, a ubóstwia wólcę między chaszczami albo nad brudną rzeką. Wczoraj z łopianów wypłoszył bażanta; błyszcząc metalicznym brązem, ptak wzbił się ciężko w powietrze, ciągnąc za sobą tren ogona.

Z każdym krokiem przemierzonym w milczeniu, Michał coraz wyraźniej uświadamia sobie, że chce, nie, że musi po prostu zobaczyć Małgorzatę. Jej, nie komu innemu, chce wytłumaczyć, co właściwie zaszło. Nie może znieść myśli, że ona przypuszcza, iż została wykreślona z premedytacją, że w ogóle nigdy nic nie znaczyła, że wszystko było przypadkowe, nieważne i służyło zapełnieniu czasu. A właściwie, dlaczego nie miałyby się z nią zobaczyć? Nie ma chyba zakazu odwiedzania dawnej szkoły?

Zabiera się do rzeczy ze znanstwem wyniesionym z filmów kryminalnych. Telefonuje do sekretariatu z pytaniem, ile lekcji mają we wtorek drugie klasy. Małgorzata chodzi do „b”, humanistycznej, ale nie pyta o humanistyczną, pyta o wszystkie drugie. Dodaje, że dzwoni z kuratorium. Pani sekretarka z przejęciem udziela mu informacji, wspominając, że plan jest prowizoryczny, państwo w kuratorium z pewnością rozumieją kłopoty związane z rozpoczęciem roku szkolnego.

— Czółko.

— Hej.

Jak on uśmiechnęła się na jego widok. Jest taka jedna aktorka, nieładna, bezbarwna, nijaka, a wystarczy, żeby się uśmiechnęła i staje się piękna.

Małgorzata także na okamgnienie rozkwita w uśmiechu, rozgadane dziewczyny wokół niej gdzieś odpływają i zostają oni we dwoje, na tle siatki otaczającej szkolne boisko.

— Przyszedłeś po jakieś zaświadczenie?

— Przyszedłem do ciebie, Małgorzato.

— Jestem zaszczyczona. Czy zasłużyłam na takie wyróżnienie?

— Nie wygłupiaj się. Chciałbym ci coś powiedzieć.

— To mów.

— Nie tutaj. Chodźmy gdzieś. Zapraszam cię na kawę, lody, pizzę. Na co chcesz.

— Muszę wracać do domu. Odgrzać obiad Tomkowi.

Z trudem uświadamia sobie, że ten Tomek to pewno mały brat, chłopczyk z deskorolką, taki śmieszny smarkacz.

— Tylko na chwilę. Proszę.

— A nie mógłbyś wyłożyć głębokich przemyśleń idąc? — Marszczy nos jak spłoszony królik. — Jaśniej mówiąc, proponuję, żebyś mnie odprowadził. Dotarło?

Nagle, nie wiadomo skąd, pojawia się przed nimi Magda. Trudno ją poznać w tym grymasie, jaki ściąga jej twarz, tak jak trudno rozpoznać jej głos w tym schrypniętym półkrzyku.

— Ach, to o tę idiotkę chodzi. Serdeczne gratulacje dla obojga.

— Maggie, daj spokój. — Za plecami Magdy stoi dryblas z maturalnej, najlepszy koszykarz w szkole, zwany Magikiem, i to on stara się przerwać potok słów płynący z ust Magdy.

— Proszę, zabieraj to, co wykopałam za drzwi, życzę szczęścia na nowej drodze życia. — Rozczapierzone palce godzą w Małgorzatę, zdrętwiąłą i nieruchomą. — On się dowalał do ciebie już przed wakacjami, prawda? No, zjedz na zdrowie to, czego nie dojadłam. Smacznego!

— Maggie, uspokój się.

Najstraszniejsze, że Michał kamienieje i nie może, nie potrafi ani słowem, ani gestem obronić Małgorzaty przed słowami Magdy. Jest jak głaz, jak pień drzewa, jak słupek podtrzymujący siatkę, pojmując niesprawiedliwość tych oskarżeń, czując wstyd i odbierając jako własny ból zadawany Małgorzacie, tkwi obok niej i milczy. Powinien krzyknąć, że to

60

nieprawda, że winien jest tylko on, nikt inny, że wie to dobrze i przeprosza Magdę za siebie, jeśli zechce przyjąć te przeprosiny, ale Małgorzata nie ma nic wspólnego ze sprawą ich dwojga.

Ale nie mówi nic, pozwalając Magdzie dopowiedzieć do końca słowa głupie i obraźliwe. Zresztą Magda odchodzi równie nieoczekiwanie jak się pojawiła. Pod siatką pozostają oni dwoje. A właściwie zostaje już tylko on, bo Małgorzata ze spuszczoną głową odchodzi, nie oglądając się za siebie, najpierw idzie wolno, potem prawie biegnie, znika za rogiem.

Wtedy dopiero Michał budzi się ze swego transu, ruszając w ślad za nią. Popycha ludzi na chodniku, potrąca jakiegoś starszego pana, do podeszwy przykleja się plastikowa torba, ciągnąc za sobą strzęp folii, ściga uciekającą. Czerwone światło, to nic, pisk hamującego samochodu, głupstwo, najważniejsze, że jest już po drugiej stronie jezdnii, jeszcze kilka kroków i zabiegnie drogę Małgorzacie.

— Poczekaj. — Stara się pochwycić jej dłoń. — Ja ci wytłumaczę...

— Nie ma nic do tłumaczenia.

Można powiedzieć, że coś w Małgorzacie przygasło, jakby wewnątrz jakieś niewidzialne palce wyłączyły światło, opalona skóra zszarzała, oczy stały się prawie czarne, włosy zmatowiały, jakby je posypano pokutnym popiołem.

— Słuchaj — brnie dalej rozpaczliwie i na ślepo. — To moja wina. Zrobię wszystko, żeby...

— Nic nie zrobisz. — Nie znał tego głosu rozkazującego i twardego, głosu dorosłej kobiety. — Znikniesz. I nie śmiej się pokazywać.

Coś takiego było w tonie tego głosu, że odszedł, powlókł się noga za nogą przed siebie, ciągnąc za sobą kawał poszarpanej folii niczym sztandar klęski.

— Masz wygląd tak zdezorientowany, że przypominasz materię galaktyczną po Wielkim Bangu. — Uwaga ojca była o tyle niezwykła, że ojciec nie miał zwyczaju zauważać tego, co dzieje się z Michałem. — Mam na myśli okres, gdy jeszcze pozostawało nie uformowane jądro układu.

Przez dwa dni nie chodził do szkoły, to było łatwe, bardzo łatwe, matka zawsze

opuszczała dom przed nim, a ojciec nie zaglądał do jego pokoju. Leżał na tapczanie, gapiąc się w sufit, o proszę, ta plama jest

61

podobna do klęczącego wielbłąda, zaś w cieniach przesianych przez firankę można dopatrzeć się zarysu groźnej twarzy o okrutnie przymrużonych powiekach.

Trzeciego dnia wstał, by stanąć na czatach pod siatką otaczającą boisko.

Owszem, przeszła obok niego z taką obojętnością, jakby był kontenerem na śmieci lub tablicą do przyklejania ogłoszeń. Przeszła nie sama, a w towarzystwie trzech chłopaków, jeden niósł jej torbę.

Następnego dnia chłopak od torby był także, a oprócz niego ze cztery dziewczyny.

Oczy Małgorzaty dotknęły go na moment, by zaraz odwrócić się gdzie indziej.

Jedna z dziewczyn zachichotała:

— Jest. Jak Boga kocham, jest.

Znalazł w książce numer jej telefonu. Odłożyła słuchawkę, nim zdążył powiedzieć, kogo prosi. Napisał list. Potem drugi. Może przeczytała, a może podarła. Nie wiedział, bo skąd mógłby wiedzieć.

Nabrała zwyczaju otaczania się całą gromadą dziewczyn i chłopaków przy wychodzeniu ze szkoły. Nie będzie przecież przy tych chłopakach i dziewczynach z drugiej Małgorzaty zaklinał i przepraszał. Ludzie z jego dawnej klasy popękaliby ze śmiechu, ale zgryw. Michałowi na mózg się rzuciło, schizofrenia paranoidalna z komplikacjami, Magdziu-siu, słoneczko, do czego dolewałaś lubczyku? Gin z tonikiem, mówisz? On już od dawna psychował, darło toto nosa, a w środku gówienko z garniturkiem, dajcie sobie spokój z tym przygłupem, dobrze, że się od nas wyniósł.

Dopał jednak Małgorzatę na osiedlu przy piaskownicy, tym razem przygotował starannie to, co chciał powiedzieć, ale ona odwróciła się na pięcie i odeszła, nim zdążył dokończyć pierwsze zdanie. Zobaczył ją także na schodach, stał chyba ze trzy godziny pod kaloryferem na półpiętrze, czekając na tę chwilę. Na jego widok wycofała się tyłem do drzwi i zamknęła je bez najmniejszego skrzypnięcia, tak że nie był pewien, czy ją rzeczywiście widział, czy nie.

Kiedy tak kręcił się po osiedlu, kilka razy mignął mu z daleka płowowłosa maluch ze sterzącymi wicherkami. Jak powiedziała Małgorzata? Że kupiłaby małemu bratu rower i że mały jest w porządku.

Obudził się w nocy olśniony prostotą tego pomysłu. Musiałaby z nim porozmawiać, gdyby porwał małego. Tomek się chyba nazywa, tak, na pewno Tomek. Nic się chłopaczkowi nie stanie, a ona przecież nie może pozostawić brata bez pomocy, więc można będzie przysiąc, że już nigdy

62

on, Michał, nie zachowa się jak ostatni pętał. Jeżeli uda się powiedzieć wszystko do końca, ona zrozumie.

Czym zwabić takiego kajtka? Nic prostszego. Pożyczy od Mikołaja motorynkę, niejasno pamięta, że sam oddałby przed laty duszę diabłu za możliwość przejechania się na tylnym siodełku. Rodzice na sobotę i niedzielę wyjadą na działkę, jesienne porządki jak co roku, wielkie misterium kopcowania marchwi i selerów, zbiór ostatnich pomidorów.

Oczywiście, Małgorzata i ten mały mają jakąś rodzinę, ale telefoniczne pertraktacje zostaną przeprowadzone tylko z nią, da się Małgorzacie do zrozumienia, że musi milczeć przed rodzicami o tym porwaniu. I nie chodzi o nic innego, tylko o możliwość wytłumaczenia, że Michał naprawdę jest inny niż ona przypuszcza, że ta cała głupia i niepoważna sprawa wynikła z niezdecydowania, no

spróbujmy to inaczej sprecyzować, z niechęci sprawienia przykrości Magdzie. Naprawdę nie chciał tego, a stało się tak, że poniżył je obie. Siebie przy okazji też. Naprawdę jest gotów zapłacić każdą cenę, jakiej Małgorzata zażąda, żeby mu uwierzyła, żeby zechciała wysłuchać tego, co musi jej powiedzieć. Im dłużej tej bezsennej nocy zastanawiał się nad swoim pomysłem, tym wydawał mu się coraz lepszy. Zasnął dopiero nad ranem i w tym śnie wędrował z Małgorzatą pod cieniem starych drzew, w ptasim świergocie, w podmuchach wiatru, w drgającym blasku przesianym przez liście.

— Oddam w niedzielę, a może jeszcze w sobotę — zapewnił Mikołaja, właściciela czerwonej motorynki. — Przywiozę ci kasety, tak jak się umówiliśmy.

— Wybierasz się gdzieś? — informowała się matka trochę zaskoczona widokiem motorynki. — O ile mi wiadomo, nie masz prawa jazdy, więc chyba ci nie wolno prowadzić czegoś takiego.

Zgodnie z prawdą, uspokoił jej obawy. Żeby prowadzić motorower i motorynkę, prawo jazdy jest zbędne, wystarczy karta rowerowa. To taki rower, tyle że z motorkiem i zabawnie obudowany, dzieci jeżdżą czymś takim.

Dociskając manetkę, ruszył ku dalekiemu osiedlu, czując pod sobą równe granie motoru. Ten plan musi się udać. To jest ważna szansa, której nie wolno zmarnować.

* * *

Siedział w ciemności wrześnie nocy na siodelku motorynki niezdolny do jakiegokolwiek ruchu, zmęczony, pusty w środku jak wydmuszka.

Gdyby się nie wstydził, rozplakałby się jak kiedyś w dzieciństwie.

Przegrał z małym. To on, Michał, okazał się smarkaczem, tamten kajtek nie ustąpił nawet na milimetr, bronił siostry jak potrafił, pewny, że grozi jej niebezpieczeństwo. Twardy maluch. Roweru nie przyjął, chociaż na pewno nie umiałby objaśnić, co to znaczy przekupstwo. Gdyby Michał ofiarował mu najwspanialsze transformery, też by je z pogardą odrzucił, tak jak Małgorzata odrzuca Michałowe słowa i listy.

Trudno żyć z tym wszystkim, pokąpuć się, pochachmęcić, poplątało, ani dojść, gdzie koniec, a gdzie początek. Teraz wiadomo, jak trzeba było postępować, wtedy to wydawało się zupełnie nieważne. Wystarczy dmuchnąć na sieć pajęczą, żeby ją zniszczyć. Tak sądził. A w ogóle, czy taka sieć może skrępować coś innego, niż muchę czy komara? Okazało się, że te zwiewne nici są ze stali, można się mocno pokaleczyć, zrywając taką sieć, można zaplątać w nią innych.

Teraz już nigdy nie wyjaśni tego Małgorzacie. Dzisiejszego popołudnia i wieczoru przekreślił definitywnie ostatnią możliwość. Dlaczego nie domyślił się, że mały wyskoczy oknem? Zresztą, to bez znaczenia. Pewnie gdyby zmusił małego do wypowiedzenia przez telefon wymyślonej przez siebie kwestii, ten kajtek zrobiłby coś, co zniweczyłoby cały plan. Jak żyć teraz z taką plamą? Jak się uśmiechać do ludzi i jak stać się z powrotem dawnym Michałem, jak pójść przez cień i słońce z Małgorzatą, jak wymazać z pamięci tygodnie nad jeziorem, jak powiedzieć Tomkowi „przepraszam cię, stary”, ale tak powiedzieć, żeby mały zrozumiał, co jest grane. Jest odrobina nadziei, nie większa od ziarnka piasku. Jeżeli mały opowie Małgorzacie, co się zdarzyło, ona domyśli się, dlaczego tak się stało. Nie, jutro nie. I pojutrze także nie. Ona musi mieć czas, żeby się zastanowić. Za tydzień Michał znowu stanie przy siatce otaczającej boisko albo przy murku piaskownicy.

Tak, jeżeli teraz mały snuje opowieść o swoim porwaniu, jest jeszcze nadzieja. Musi być.

Za siatką w ogrodzie czeka smutny opuszczony Rambo, nie rozumiejący ani bezruchu Michała, ani milczenia wrześnie nocy, albo może rozumiejący wszystko bardzo dobrze. Kto odważy się powiedzieć, że wie, co naprawdę rozumieją pręgowane bokserzy?

TO jest Perseusz, pokazujący głowę Gorgony potworowi, który chciał pożreć księżniczkę Andromedę. Potwór skamieniał, bo Gorgona spojrzeniem zamieniała w głaz.

— Tutaj najwidoczniej naszyły mnie jakieś wątpliwości, bo dodałam po momencie milczenia: — Po śmierci także to umiała.

— Skąd ty wiesz takie rzeczy, dziewczynko? — zdumieli się starsi państwo, którym w muzeum urządziłam nie zamówiony przez nich wykład. — Chodzisz pewnie do pierwszej klasy podstawówki.

— Do trzeciej — zareplikowałam z godnością.

— I tego was uczą? O Perseuszu?

— Wcale nie. Ja się tego sama dowiedziałam.

— Nadzwyczajne. Takie małe dziecko.

— Nie jestem mała, tylko tak wyglądam. — Zawsze czułam się obrażona wytykaniem mi mojego wzrostu. Byłam podobna do grzybka borowika, nieduża, pękata, płowa. — Ja kiedyś urosnę, słowo honoru.

Podobno czytać nauczyłam się jeszcze w przedszkolu. Umiejętność tę utrzymywałam w ścisłej tajemnicy aż do dnia, gdy wysłana do skrzynki po list, oświadczyłam:

— Damazy Skrzypaszek z Radomia napisał.

— Zaraz. — Ojciec podniósł na czoło okulary i przyjrzał mi się tak, jakby mnie widział pierwszy raz w życiu. — Nie rozumiem, jak dziecko wpadło na pomysł, że to list od Skrzypaszka.

— Tu jest napisane. — Dziubnęłam palcem w miejsce, gdzie umieszcza się nazwisko nadawcy. — O, tutaj.

— Ty umiesz czytać?!

— Nie wiem. — Bo wtedy naprawdę nie wiedziałam.

67

Było trochę rodzinnej sensacji, kolejne ciotce wydawały zdumione okrzyki, gdy demonstrowałam na życzenie mamy albo ojca swoje nowe umiejętności, ogólnie uznano, że to zdumiewające, a potem zamiast chudej lalki Barbie albo ślicznej lalki Cindy zaczęto mi kupować książki na imieniny, gwiazdkę i na Dzień Dziecka, a czasami tak sobie, bez powodu.

Pani od polskiego, która nas uczyła od szóstej klasy, lubiła ze mną rozmawiać o różnych Aniach z Zielonego Wzgórza, Polyannach, Jodym z „Rocznika”, Nemecku z placu Broni, Baśce Wołodyjowskiej i panu Zagłobie z okiem zasnutym bielmem, Zbyszku z Bogdańca i garbatym dzwonniku z Notre Dame, królewiczu Edwardzie, tułającym się w żebraczych łachmanach i małym Oliwierze, którego uczono dokonywania kradzieży na manekinie obwieszonym dzwoneczkami.

— Czy ty przypadkiem nie próbujesz pisać, Gosiu? — Po tym pytaniu zaczerwieńłam się jak ćwikłowy burak. — Jak czytam twoje wypracowania i rozmawiam z tobą, domyślałam się, że próbujesz swojego pióra.

— Kiedy ja naprawdę niczego takiego nie piszę.

— Nie ma się czego wstydić. Może mi zechcesz pokazać twoje notatki? Ale jeżeli wolisz zachować je w sekrecie, nie nalegam.

Z tego wszystkiego wynika, że jako dziecko dobrze się zapowiadałam. Po zgubieniu mlecznych zębów i podrośnięciu, przestałam się dobrze zapowiadać, tyle że bardzo lubiłam czytać, no i pisałam ten swój nieszczęsny pamiętnik. Wziąwszy pod uwagę,

że moi koledzy, gdy mają napisać wypracowanie albo przeczytać „Latarnika”, zachowują się jak ktoś zmuszony do pokrycia piramidy Cheopsa hieroglifami od podstawy do szczytu, lub ktoś, komu zetną głowę, jeżeli nie odczyta węzełkowego pisma kipu, supłów namotanych na barwnych sznurach, to rzeczywiście coś mnie od nich różniło.

Mój pamiętnik rozpoczynają zeszyty w trzy linie, gdzie ogromnymi kulfonami zanotowałam, że urodził mi się brat. Dalej można dowiedzieć się, że brat ma pierwszy ząb, że brat ryczy, a mnie dziadek obiecał rower, jeśli będę dobrą siostrzyczką i pomogę mamie w wychowywaniu Tomka. Zdaje się, że dotąd zarabiam na ten rower, którego nigdy nie dostałam.

W tych zeszytach w trzy linie niektóre notatki brzmią wręcz tajemniczo. „Jak daję Fredkowi cukierki, to mogę go pocałować” czy „Wstrę-

68
ciuch udaje, że mnie nie widzi i lata do Aldony”. O ile sobie przypominam, Fredek był bardzo łakomym wyżłem niezbyt ceniącym pieśczoły zaś Wstręciuchem ochrzciałam pewnego interesownego gawrona, który z niewiadomych powodów wzgardził okruciami z naszego parapetu przenosząc się na balkon Aldony, dokładniej babci Aldony, ponieważ Aldona nigdy nie sypała ptakom pokruszonego chleba.

Skończywszy z zeszytami w trzy linie, zaczęłam używać zwyczajnych brulionów, mogły być w kratkę, linie albo czyste. Niektóre z nich te, które się zachowały, wyglądają mniej więcej tak, jakbym je odkopała z piwnicy zbombardowanego domu, gdzie przeleżały dłuższy czas W wieku pięciu lat Tomek odkrył, że wyrwane kartki mogą służyć mnogim celom, przede wszystkim można je było zwiąć w tutkę, zapalać i rzucać z piątego piętra. Służyły do sporządzania papierowych strzał a także do mazania po nich kredkami. Mały najchętniej malował pożary na czerwono, pomarańczowo i żółto. Może to zresztą wcale nie były pożary, a tylko tak wyglądały.

W brulionach, ocalonych przed Małym, najwięcej pisałam o sobie W tym samym czasie ciągle przeglądałam się w lustrze, szukając w swoim odbiciu oznak fascynującej urody, nie wiadomo czemu wydawało mi się, że któregoś dnia spojrzą na mnie ze srebrnej gładkości fiołkowe oczy w oprawie długich rzęs, a złociste loki opadną falą na białe ramiona Niestety, z lustra nieodmiennie patrzyło na mnie stworzenie z przy-krótkim nosem, pyzatymi policzkami i dużą ilością włosów, którym ani się śniło sływać kędziorami, wołały zwiąć się w niesforne wicherki. Bardzo chciałam być podobna do modelek, reklamujących dezodoranty, mydełka i szampony, tych, które w powiewnych peniuarach dosiadają pięknogrzywych wierzchowców, leżą w łodzi dryfującej po lagunie, nad którą malowniczo zachodzi słońce albo są obsypywane orchideami przez młodzieńców o zniewalającym uśmiechu. Nikt mnie nie obrzucił bukietem orchidei, na czternaste urodziny dostałam od mamy doniczkę z fuksją. Po dwóch dniach fuksja zniknęła.

— Co zrobiłeś z kwiatkiem?

— Z jakim kwiatkiem? — Sumienie Mały miał nieczyste, kiedy kłamie, bez przerwy mruga powiekami.

— Z tym, który stał w oknie.

— Pewnie spadł — zaryzykował najbardziej neutralną hipotezę. Mały to straszny chytrus. Po prostu lisek chytrusek.

69

Wcale nie spadł. Mały ozdobił nim skryjdę. Skryjda mieściła się pod samą ścianą bloku, osłonięta wielkim kontenerem na śmieci przed niepożądanymi spojrzeniami. Skryjdę meblowało krzesło o dwóch nogach, skrzynka po bananach i dziurawy

parasol. O istnieniu skryjdy wiedziało ze dwa tuziny innych małych i pan gospodarz bloku. Nie odebrałam Małemu doniczki ze szkarłatno-granatowymi kwiatami. Ładnie wyglądała na skrzynce po bananach.

Co dalej jest w ocalałych brulionach? Jest historia o tym, jak grałam w siatę z chłopakami. Najpierw nie chcieli, żebym weszła na boisko, ale potem grałam z nimi wszystkie sety do końca, chociaż zostałam wpuszczona tylko na czas, dopóki Julek nie wróci od dentysty.

— Z ciebie, Gośka, równy facet — pochwalił mnie Jarosław, a ja poczułam się tak, jakby jednocześnie ozdobiono mnie koroną Miss World i postawiono na najwyższym olimpijskim podium.

Często czułam na sobie wzrok Jarka; kiedy się oglądałam, okazywało się, że ze znużoną miną przegląda podręcznik albo gapi się w okno. Ale to on na mikołajki ofiarował mi maskotkę. Wiem to od Olka, który oddał Jarosławowi kartkę z moim nazwiskiem.

— Jaka śliczna — zachwyciłam się, a różowa małpka zadyndała na różowej wstążeczce.

— Małpiszon.

— Mnie się podoba — brnęłam dalej, nie zrażona nieprzychylnością Jarosława.

— Wam się podoba każde barachło.

Któregoś dnia Jarosław tak pokierował moimi krokami, że znalazłam się na osiedlowym parkingu przed czerwonym samochodem. Wyjął kluczyki, otworzył wóz i kazał mi usiąść na siedzeniu obok kierowcy. Posiedziałam, potem musiałam wysiąść i wsunąć głowę pod podniesioną maskę, żeby obejrzeć świecę, pasek klinowy i palec rozdzielacza.

— Umiesz lewarować? — Po zatrzaśnięciu maski otworzył bagażnik. — Pokazać ci?

— Pokaż.

— To jest podnośnik hydrauliczny. — Nigdy bym nie zgadła, że urządzenie, które wydobyl z bagażnika, to podnośnik i w dodatku hydrauliczny. — Widziałaś taki?

Użycie tego podnośnika nie było łatwe, Jarosław podejmował kolejne wysiłki, polecając mi znaleźć cegłę albo płaski kamień, a przez ten

i

70

czas samochód stał jak przymurowany i nawet o centymetr nie uniósł się w górę.

W ósmej klasie moim chłopakiem był Remek. To z nim całowałam się naprawdę, bo jakichś tam cmoknięć wcale nie będę wspominała. To on mi powiedział, że mnie kocha. Ja mu też to powiedziałam, bo oglądałam te same filmy i wiedziałam, jak się trzeba zachować w takich okolicznościach. O naszych uczuciach powiedzieliśmy sobie na trzecim piętrze pod drzwiami państwa Kowalskich, podczas gdy piętro niżej szklarz wstawiał na klatce wybitą szybę i bałam się, że słyszy nasze wyznania. Ja zdałam do liceum, Remek do technikum. Widujemy się dość często, ale nie rozmawiamy ze sobą, on zawsze gdzieś się spieszy i ja także. Zresztą o czym mielibyśmy teraz mówić?

W moich brulionach odnotowane są wyjazdy na wakacje i szkolne wycieczki. W Krakowie obtarłam sobie do krwi stopy, jak syrenka z bajki płaciłam bólem każdy krok po Rynku i wawelskiej katedrze. Na zdjęciu z Żelazowej Woli przed szopenowskim dworkiem kucam w pierwszym rzędzie u samych stóp wychowawczyni. Na wakacje jeździmy zawsze do dziadków. Lubię las i ukryte w nim piaszczyste wydmy, lubię wrzosowiska i śródleśne jeziora o czarnej wodzie, lubię chodzić po poduchach mchu i syrkim igliwiu. Lubię babciny sad pełny wiśniowych drzew o pniach płaczących wonną żywicą, jabłoni o gałęziach przygiętych do ziemi

ciężarem owoców, grusz o lakierowanych liściach i malin rosnących wzdłuż parkanu, gdzie szuka się jaj pokątnie składanych przez kury gardzące wygodnym gniazdem pod grzędą.

Lubię rzeczkę osłoniętą przez kudłate wierzby, gdzie z norek wykopanych w urwistym brzegu jak czarne strzały wylatują jaskółki, ślizgając się brzuskami nad wodą. Lubię łąki nad tą rzeczka i grabienie siana na tych łąkach, jeszcze nocą włosy pachną sianem; szkoda, że nie ma takich perfum, to fajniejsze niż Wild Musk czy Masumi.

Nie mogę powiedzieć, żebym lubiła Małego na wakacjach. Mały wpada we wszystkie doły rzeczki, gdzie normalnie wody jest w najlepszym razie do pół uda; włazi na takie drzewa, z których nie potrafi zejść; spada z dachów, drażni gęsiory i zagląda do gniazd szerszeni.

— Na przyszłość proszę wynajmować do Tomka goryla, który by chodził za nim, ratował go z topieli, zdejmował z drzew i potrafił spacyfikować rozwścieczone szerszenie — oświadczyłam rodzicom. — Ja

71

się nie nadaję. Mam za niskie kwalifikacje do staczania potyczek z osobami, które najchętniej powiesiłyby Małego na suchej gałęzi do góry nogami.

W Warszawie też nie brakuje osób, które uważają, że Małego należy trzymać w klatce zamkniętej na solidną kłódkę. Dzienniczek Małego jest wypełniony uwagami, dzwonek przyciskają zapłakane dziewczynki przychodzące na skargę, a gospodarz domu utrzymuje, że któregoś dnia Mały wysadzi wszystkich w powietrze.

Rzeczywiście, petarda zdetonowana w piwnicy wybiła dziurę w suficie i narobiła potwornego huk.

W brulionach odnotowałam kilka ważnych wydarzeń. Jest tam opisany ten letni wieczór z samotną gwiazdą stojącą akurat w moim oknie, kiedy napisałam wiersz.

Słowa przypłynęły gdzieś z daleka i usiadły ciemnymi rządkami na bieli papieru.

Odnoto wałam i ten dzień, w którym wyruszyłam na cmentarz w poszukiwaniu grobu Wisnowskiej. Poszłam go odnaleźć, kiedy przeczytałam, jak odeszła z tego świata.

Potem się okazało, że cmentarz może być czymś podobnym do skrzydły Małego, tam są jacyś ludzie, ale nie przeszkadzają mi, tak jak ja nie przeszkadzam im. W parku jest inaczej, zaraz ktoś się przysiada, ktoś zaczepia, krzyczą dzieci, a ja zamiast spokojnie pomyśleć, zaczynam się martwić, że nie mam takich spodni jak ta dziewczyna, która akurat przechodzi alejką.

W brulionie ukrywam także moją tajemnicę. Piszę o chłopaku, którego nie znam, który wcale nie wie, że ja istnieję, chłopaku z liceum, prawdziwym, ale i Michael Jackson też jest prawdziwy, nie trzeba go wymyślać.

Nigdy nie przypinałam sobie nad tapczanem zdjęć muzyków ze znanych kapeli, sportowców ani aktorów. Nigdy nie pisałam listów z prośbą o autografy. Nigdy w podstawówce nie wgapiałam się w młodego pana od biologii; czułabym się idiotycznie, gdyby mi przyszło oplakiwać rzewnymi łzami, tak jak robiła to Renata; fakt, że na dyskotecie pan od biologii po kolei odmawiał zapraszającym go dziewczynom.

W liceum niektóre dziewczyny już po kilku tygodniach wiedziały wszystko, czasem można było odnieść wrażenie, że dysponują podsłuchem, ukrytą kamerą lub zakonspirowanymi współpracownikami. Może rzeczywiście kryły się w szafie podczas posiedzeń grona pedagogicznego lub przechadzały się wokół inwigilowanych z malusieńkim mikrofonem w kieszeni. Prawdziwa agencja „Ucho”.

72

— Ona żyje z reżyserem. — Akurat pochmurna dziewczyna wsiadała do czekającego za rogiem samochodu. — On się rozwodzi, pobiorą się zaraz po jej maturze. Widziałaś jej pierścionek? Od Thompsona, z brylantem.

— Doszła do półfinału. Podobno robiła co mogła, żeby ją puścili dalej, ale straszna konkurencja, nie wyrobiła się. — Te informacje dotyczyły wysokiej blondynki ukazującej w uśmiechu olśniewająco białe zęby. — Ma w szkole obciachy, pozowała do kalendarza, tak, żeby nie było widać twarzy, sprawa się ryła, ktoś zakapował.

— Z samorządu? Puknij się w głowę. On włazi dyrekcji, żeby zdać, sam gada, że olewa wszystko, byle do wiosny, matura do łapy i tyle go widzieli. To o przewodniczącym naszego samorządu. O najlepszym koszykarzu opinia brzmiała mniej więcej tak:

— Jego stary drepcze koło fundacji, Batorego fundacji, czy jak jej tam, żeby go wsadzić na amerykański uniwersytet. Jak się nie uda, pojedzie do Niemiec albo do Szwecji to już dogadane z klubem.

— Ona? Najpiękniejsza w parafii! Ciuchy ma niezłe, to fakt. Chłopaków łapie jak może, trudno się od niej opędzić. — Tu informatorka nabierała tchu, by dokończyć z wyraźną satysfakcją: — Fluidu używa nawet na basen i błyszczku na wacgi też. Nie widziałaś, prawda?

Prawda, nie widziałam. Chodziła o klasę wyżej, była ładna, nie, to nie jest precyzyjne określenie, coby lepiej by zabrzmiało, zwracała uwagę. Trochę podśmiewając się z samej siebie, zazdroszczę dziewczynom, które mają czas na zastanawianie się, jaki pasek do jakiej spódnicy i jaka apaszka do żakietu, które zawsze wyglądają tak, jakby dopiero co odeszły od lustra, a wygnają tak nawet wtedy, gdy jedzą hot doga i oblizują keczup spływający po palcach albo kiedy stoją bez parasola na przystanku podczas ulewnego deszczu. Owa Magdalena należała właśnie do tej kategorii dziewczyn.

Nasza klasowa agencja „Ucho” poświęcała swoją uwagę nie tylko ludziom ze starszych klas, w chwilach wolnych od zbierania najważniejszych informacji, ustalała jakby mimochodem, kto z kim, po co i dlaczego, co dotyczyło już tylko nas, licealny plebs z pierwszych, a między innymi i mnie.

Wydarłam kiedyś z rąk Antoniny brulion, który nieopatrznie zostawiłam na wierzchu.

73

— Gosia coś gryzmoli. — Od tego czasu tak brzmiała opinia o mnie. — Trochę trzaśnięta, nieszkodliwa. Dobrze podpowiada, a siedzi przy pierwszym stoliku. Daje ściagi.

Właściwie niezbyt je interesowało, co ja gryzmołę, mogłam stworzyć własną wersję „Pieśni o Rolandzie”, nowy system filozoficzny, rozwiązać tajemnicę lądowania kosmitów na naszej planecie albo opracować wzór matematyczny predestynujący mnie, czyli jego twórczynię, -- .agrody Nobla, to nikogo ani ziębiło, ani grzało. Za to zadane ktoś dnia pytanie postawiło agencję „Ucho” w stan pogotowia.

— Znacze tego wysokiego chłopaka? Granatowa puchówka z białym suwakiem, białe kozaki. Strzyżony w języka.

Zmierzywszy mnie badawczym spojrzeniem (zaczerwieniłam się, nic na ten rumieniec nie mogąc poradzić), przedstawicielka agencji „Ucho” udzieliła mi informacji, z których dowiedziałam się, że:

— Z tej samej klasy co Magda. Jej chłopak. Taki sobie, ale można wytrzymać, chociaż bąbelki od wody sodowej mocno bulgoczą. On myśli, że jest super i

jeszcze mu Magda w głowie przewraca, dobrali się jak w korcu maku. Krótko mówiąc, nie wchodzić, zajęte. Aha, jego stary jest uczonym. High life, bon ton i tak dalej. On ma niewąską gadanę, nic nie umie, a nawija, jakby wygłaszał referat.

— On ci się podoba?

— Czemu miałby się podobać? — odbiłam pytanie pytaniem. — Tak się po prostu spytałam. Nie wolno?

— Ty się nie pytasz o chłopaków.

— Ale się spytałam. Jak już musisz wiedzieć, on jest podobny do jednego kolegi z podstawowej — zaczerpnąwszy tchu, uzupełniłam wyjaśnienie. — Może to jego brat. Albo kuzyn.

— Może — zgodziła się ze mną przedstawicielka agencji „Ucho”. Ale nie wydawała się usatysfakcjonowana tym, co usłyszała.

Czemu pytałam?

To długa historia. Dawno temu, podczas wakacji u dziadków, odnalazłam na strychu kilka starych książek, zaspanych kurzem, zapomnianych przez wszystkich. Jednym brakowało początku, innym końca, jeszcze inne były haniebnie pocięte przez myszy. Nawet babcia nie potrafiła sobie przypomnieć, skąd się wzięły między pszczelarskim kapeluszem, odkurzaczem i filcowymi walonkami, z których jeden stracił połowę cholewki.

74

Ta, której brakowało okładki, tytułu i czterdziestu pierwszych stron opowiada o rudej Peggy. Ta Peggy była piękna i dumna, ale biedna jak mysz kościelna, jej rodzina straciła swoje posiadłości, gdy Jakub Stuart powtórnie wylądował na Zielonej Wyspie. Potem przez ćwierć tysiąclecia wspominali dawne zaszczyty i dostatki, odrzucając z pogardą okazję wzbogacę- a. Młodszy syn lorda, zobaczywszy Peggy, postanowił ją uwieść, w . irowany urodą rudowłosej. Nie ze mną te numery lordzie oświadczy, \ dziewczyna. Opowieść o rudej piękności skończyła się formalnymi oświadczeniami zakochanego arystokraty, duma i niezależność Peggy były najlepszą legitymacją jej szlachectwa. A jak cwałowała w czerwonym fraczku, goniąc lisa! Jak tańczyła walca ,w lordowskich salonach, gdzie zaproszono ją tylko po to, żeby pośmiać się do woli z niezgrabnej wiejskiej gąski! Jak przepięknie zaśpiewała starą balladę wyciskając łzy z oczu słuchaczy.

Podobała mi się ta Peggy. Na ilustracjach mogłam ją podziwiać w berzerce na rudych włosach, tarlatanowej pejzance w bukieciki stokrotek, w obcistej amazonce i w sznurowanym gorsecie (te dziwne nazwy wyczytałam w książce, wcale ich nie zmyślam, słowo). Młody lord występował przybrany w surdut, żakiet bądź w hawelok (nieważne co to jest, ważne, że noszą to lordowie), był zabójczo przystojny, co nie przeszkadzało, by Peggy osadzała go w miejscu lodowatym zdaniem:

— Pan nie ma prawa całowania mojej ręki, milordzie. Idiotyczne, ale przez jakiś czas wyobrażałam sobie, że jestem ową

Peggy, wydawało mi się, że potrafiłabym wcale nie gorzej niż ona wzbudzić miłość w młodym lordzie. Pewnie zatańczyłabym i tego walca gdyby było trzeba.

Nigdy nie odgadłam, czemu ta stara, obszarpana książka zapadła w moją pamięć. Kiedy zobaczyłam tego chłopaka, pomyślałam, że tak musiał wyglądać młody lord uganiający się za rudowłosą. Jasne, dno gorzej, bulgot pod dnem, może nie jestem zupełnie normalna, tyle że nic nie mogłam na to poradzić. Zdawało mi się, że go znam.

— Puknij się w rozum — mitygowałam samą siebie. — Co ty sobie wyobrażasz? Czy zamierzasz mu rzucić z balkonu różę, czy może przechodząc dać znak wachlarzem?

W takich chwilach byłam gotowa podzielać pogląd ludzi z naszej klasy, że wertowanie książek wpływa bardzo niekorzystnie na intelekt. Nikt normalny nie rozmyślałby o róży czy wachlarzu, ja, niestety, miewa-

75

łam takie pomysły, chociaż nie przyznałabym się do nich nawet na torturach. Na szczęście, fascynacja nie trwała długo. Nie minęło zbyt wiele czasu i wróciła mi zaprzepaszczona równowaga ducha, co nie znaczy wcale, że przestałam notować swoje spostrzeżenia dotyczące owego Michała.

Wyszedł sam ze szkoły. Rozmawiał z matematyczką pod drzwiami pokoju nauczycielskiego. Magda zawiązała mu na szyi swoją apaszkę. Już nie nosi puchowca, tylko zamszą kurtkę. Kupował w bufecie solone orzeszki, dwie paczki. Gra w kosza na boisku. Przebiegł jezdnię na czerwonym świetle, żeby zdążyć do autobusu.

Trudno powiedzieć, czemu miały służyć te zapiski. Co jest ekscytującego w fakcie, że ktoś lubi solone orzeszki? Albo jakie wnioski można wysnuć z tego, że próbował dogonić ruszający autobus?

Dno. Patentowane i kompletne dno.

Gdyby teraz Antonina porwała mój brulion, setnie by się ubawiła, a ja chyba za przykładem nieszczęsnej Ofelii musiałabym rzucić się w ciemną otchłań wody, by uciec od ścigającego śmiechu.

Jeżeli ktoś przypuszcza, że te dziwne hopsy wyłączyły mnie z życia, to się myli. Dla innych byłam taka jak zawsze, Krzysiek nosił za mną torbę, a ja pozwalałam, żeby nosił i ani mi się śniło prostować ogólne mniemanie, że to on właśnie jest moim chłopakiem. Lubiłam go, naprawdę. W tym lubieniu nie było nic osobliwego, tylko gdzie jest powiedziane, że jak się lubi chłopaka, to zaraz musi być totalny zawrót głowy, marsz weselny i pieszczoty przy świetle księżycy? Krzysiek był w porządku, można z nim było pogadać i w ogóle.

Owszem, zdarzają się niezwykle historie. Oglądałam kiedyś film o Presleyu i jego żonie. Miała czternaście lat, kiedy się w niej zakochał i nie zapomniał o niej, mimo tych tysięcy dziewczyn, które piszcząc biegły za jego samochodem albo padały na kolana przed estradą, na której występował. Książę Karol powiózł Dianę do ślubu złotą karetą zaprzęzoną w siwe konie, gazety pisały o kopciuszku, który przemienił się w żonę królewicza. Inna sprawa, że te bajki mają smutne finały. Nie sądzę, żebym kiedyś zamieszkała w pałacu otoczonym egzotycznym ogrodem, nie marzę o ślubnej karecie przybranej bukietami białych róż, Michał wydaje mi się równie niedostępny i daleki jak księżyc, świecący nocami na niebie. Co z tego, że wiem, kto chodził po

76

księżycowym srebrnym piasku? Ja nigdy tego nie zobaczę z bliska, to pewne. Zresztą, kiedy ktoś ma takiego brata jak Tomek, zawsze w domu ma coś do roboty: lekcje do odrobienia, brulion do zapisywania, na karku koniec roku szkolnego i prędzej czy później musi się wyleczyć z różnych głupich pomysłów. Przekwitły bzy, przekwitły prawie kasztany, zakwitły nieśmiało akacje i wszystko przeszło, rozwiało się jak dym, jak mgła, kiedy słońce podnosi się coraz wyżej.

— Dyrektorka chce was widzieć. Ciebie też, Małgosiu. Stałyśmy stadkiem przed biurkiem, kiedy do gabinetu wszedł Michał.

Dyrektorka skinęła dłonią.

— Poczekaj, najpierw pomówię z koleżankami. Więc moje kochane, spodziewam się, że...

Pierwszy raz mogłam na niego patrzeć nie potajemnie, z oddali, ale

najwyczejniej, przecież nie będę się gapić na sznurowadła własnych adidasów ani na buraczkowy dywan okrywający podłogę, cóż, chłopak jak chłopak, rzeczywiście, trochę podobny do młodego lorda z ilustracji zdobiących starą książkę. Jakby mu włożyć rajtrok, cylinder i dać do ręki szpicrutę, byłby jeszcze podobniejszy.

Za drzwiami gabinetu, gdzie przed biurkiem pozostał ów Michał, poczułam bezsensowną radość, jak to dobrze, że jestem z powrotem sobą, nie dziwadłem przypasowującym nieznanego chłopaka do spłó-wiałych kartek. Skąd mi strzeliło do głowy, że jest w nim coś nadzwyczajnego? Niczego sobie, ale widziałam lepszych, nie, wcale nie na filmach, prawdziwych.

To już były te dni na luzie, stopnie wystawione, wakacje tuż-tuż za progiem, to znaczy, nie dla każdego ten luz, bo są i tacy, którzy przez te ostatnie dni toczą rozpaczliwe boje o poprawienie lufy na troję, niechby nawet na szynach, ale troję.

Z tymi myślami wsiadłam do autobusu. Omal nie krzyknęłam ze zdziwienia, kiedy zobaczyłam Michała.

— Czego chciała od was Kultura?

Kultura to ksywa dyrektorki. Niektórzy wolą określenie Dyrekcja Cyrku w Budowie.

— Nic ważnego.

— Przynudzać to ona lubi, mimo to nieszkodliwa piersiom. Roześmiałam się, fajnie to powiedział.

77

- Przyzwyczaiłaś się już do naszego zoologu? — Uśmiechnął się, mrugając porozumiewawczo. — Klatka taka sobie, ani ciasna, ani luźna, rzecz można, w normie. Da się żyć.

— Pewnie, że się da.

Okazało się, że wysiadamy na tym samym przystanku. Uparł się przejść przez ogrodzenie, nie dziwiłabym się, gdyby Tomek zrobił coś takiego, miałam nawet ochotę popatrzeć, jak sobie podrze spodnie, ale szybko stłumiłam te głupie pomysły. Właśnie dlatego, że to był Michał, musiałam odejść. Umarłabym chyba, gdyby się domyślił, że nie jest dla mnie zwykłym kolegą, tyle że ze starszej klasy, że ja go znam, że myślałam o nim, że mam w torbie brulion, gdzie na wielu stronach powtarza się jego imię.

— Gosica, ukręć kogel-mogel. — Trudno spokojnie pomyśleć, zastanowić się, zaraz Tomek czegoś chce, mama ma o coś pretensję, ojcu przychodzi do głowy, że warto przesunąć regał albo wyjąć coś z pawlacza. — Ubij pianę. Lubię taki nadmuchany.

Dobra, niech będzie nadmuchany i z tyżką kakao na dodatek, dzisiaj nie jest zwyczajny dzień. Podśpiewuję, machając ubijakiem nad śnieżnym obłokiem piany.

— Śpiewasz? Kredą w kominie zapisać. — Bardzo rzadko zdarza mi się pogwizdywać czy nucić, zdziwienie mamy jest w pełni uzasadnione.

— Tak się cieszysz z wakacji? — domyśla się mama. — No, widzisz, kiedy się uśmiechasz, jesteś zupełnie inna.

— Keep smiling, bwana kubwa. — Śmiejemy się obie z tego grypsu, Mały się nadyma, pewien, że tajemnicze słowa zwrócone są przeciw niemu.

Gdy już skrzypnie wersalka w pokoju rodziców, wyciągam brulion i zastanowiwszy się przez moment, wpisuję tylko tyle:

— Dzień X. Dalszy ciąg nastąpi. Dalszy ciąg nie jest przewidziany. Do wyboru.

Pewnie jest tak, że podróżny dążący do nieznanych krain za pasmem wielkich gór, przemierzający wody morza, przechodzący kolejne wydmy pustyni, po których wiatr toczy przyniesione nie wiadomo skąd poszarpane kłęby traw, gdy wreszcie uda mu

się stanąć na przeciwnym brzegu, przejść przełęcz albo opuściwszy piaski znaleźć się znów wśród zieleni, zadaje sobie pytanie: Czy warto było wyruszać w tę podróż?

78

Ja też zadawałam sobie to samo pytanie, jednocześnie już z góry zakładając, że dalej nie będzie nic innego niż „cześć” i „jak leci?” w szatni na schodach, na korytarzu. Było mi smutno, ale tylko odrobi-nieczkę. Nie mogłam równać się z Magdą, zresztą nie miałam takich zamiarów, sprawa była z góry przegrana, chociaż byłam wdzięczna losowi, że skierował na mnie trochę światła, wydobył mnie z cienia, przestałam być jakąś dziewczyną, podobną do tysiąca innych, można mi dzisiaj powiedzieć „oześć” albo „jak leci?” No i bardzo dobrze. Rudowłosa Peggy zachowałaby się na moim miejscu podobnie.

Założywszy sobie, że moje marzenia w jakiś sposób zostały spełnione,, zaczęłam przedwakacyjne przygotowania, poskracałam spódnice i ufarbowałam na zielono gimnastyczny podkoszulek, to były naprawdę ostatnie dni w szkole, co nie znaczyło wcale, że darowano nam chociaż jedną lekcję, każdy z nauczycieli uważał za punkt honoru. Jeszcze pomnożyć porcję wiedzy przed długim czasem obowiązkowego lenistwa.

Przyszedł na nasze piętro. Widziałam go wcześniej, niż on mnie zauważył, przez ułamek sekundy miałam ochotę głośno zawołać jego imię, powstrzymałam się, po co ma wiedzieć, że je znam? Mam chyba zdolności aktorskie, dużo grzecznej obojętności i coś w rodzaju zaskoczenia, tak właśnie się zachowałam. Dokładnie tak.

Z góry odrzuciłam kawiarnię, lody roztapiające się w szklanej czarce, wonną parującą kawę i ciastko na talerzyku. Ubóstwiam szarlotkę, a wyrzekłam się możliwości jej zjedzenia, bo gdybym zjadła lody czy wypila kawę, byłabym jeszcze jedną dziewczyną, z którą pogadało się przy kawiarnianym stoliku. Dałabym sobie uciąć głowę, że nigdy nie spacerował w czerwcowe południe po Powązkach, po prawdzie jakoś się odślaniałam, zapraszając go tam właśnie, tyle że Michał najprawdopodobniej nie stracił ani sekundy na domyślenie się, czemu wybrałam takie dziwne miejsce dla siebie i dla niego.

Zaproszenie przyjął. Był spsiały i podłamany, trudno było odgadnąć, o co rnu naprawdę chodzi. Zawarczał ze złością, kiedy spróbowałam wysondować przyczynę jego nastroju, być może zabrałam się do tego zbyt obcesowo, przypuszczalnie należy badanego wprowadzić w trans, tak robią psychoanalitycy, sto razy widziałam to na ekranie, teoretyczna znajomość metody, jak się okazuje, wcale nie pomaga w praktyce.

Na początku pragnęłam, żeby się przekonał, że jestem zupełnie inna

79

niż dziewczyny, które znał dotąd, niestety, nie miałam dobrego pomysłu, jak się powinnam upozować, coś tam próbowałam tak i siak, trochę licząc na scenerię, potem po prostu zapomniałam, że mam wypowiadać zdania zaskakujące lub głębokie, uśmiechać się tajemniczo niczym Mona Lisa, odpowiadać monosylabami, robiąc pauzy długie jak wieczność. A przede wszystkim, nie dać się wciągnąć w żadne rozmówki o liceum, nauczycielach, stopniach, dziewczynach, chłopakach, serialu „Dynastia” czy gazetowych nowinkach w rodzaju tej, że jedni państwo kupili od Rosjan na bazarze szczeniaczka, który okazał się niedźwiadkiem polarnym.

Zupełnie nie pamiętam, o czym rozmawialiśmy. Coś mu nawtyka-łam, drętwiąc z przerażenia, że zdekonspiruję samą siebie, pokazałam mu groby dwóch Marii, w szeleście liści i świergocie ptaków jakoś odplynęło paskudne uczucie spięcia,

obcości, a równocześnie głupiej nadziei nie wiadomo na co, gadało się nam gładko, przez okamgnienie mignęła mi myśl, że czuję się z Michałem mniej więcej tak jak z «rżyskiem. Z wysoka sfrunął pod nasze stopy raniuszek, szaro-różowa odrobinka pierza z długim ogonkiem, może to był jakiś znak, potwierdzenie czegoś, na stare lata stają się przesadna, niewiele brakuje, żebyśmy wzorem innych dziewczyn zaczęła studiować horoskopy.

— Jak masz na imię? — zapytał dopiero wtedy, kiedy mieliśmy się rozejść w różne strony świata.

— Małgorzata. — Miałam pokusę, by spytać, czy wie, co znaczy to imię; pewno by nie wiedział, a wtedy ja musiałabym powiedzieć mu o perle. Dobrze, że przeszła mi ta niemądra ochota. Nawet bardzo dobrze.

Ponieważ nie wspomniał o powtórnym spotkaniu, udałam, że tego właśnie oczekiwałam. Zliczywszy plusy i minusy, byłam z siebie raczej zadowolona; najważniejsze, że mogłam sprawdzić empirycznie (sprawdzić empirycznie to ulubione powiedzenie matematyczki), że Michał jest w porządku, normalny chłopak, głowa góra, nogi dołem i że byłam — łagodnie to określając — niemądra, snując ciągi domysłów i przypuszczeń wyprowadzonych z czegoś, co przyszło mi do głowy chyba z powodu zupełnego debilizmu. Popisałam się, nie ma co mówić.

Chyba mógł, gdyby tego chciał, odezwać się do mnie w szkole, jeszcze parę dni udawaliśmy, że się czegoś uczymy, widziałam go tylko z daleka, potem wyjechałam, jak co roku, dygując swój chudy plecak

80

i wypchaną wszelkim dobrem torbę Małego. Tomek nie rusza się z domu bez kolekcji kapsli, raketek do badmintona, deskorolki, kilkunastu małych i większych plastikowych samochodzików, ukochanych komiksów i gigantycznego pluszowego krokodyla. Krokodyla trochę się wstydzi, chociaż dziadkowie wiedzą równie dobrze jak ja, że Mały bez Wally Gatora nie potrafi zasnąć.

Dziwne, nie wspominałam rozmów z Michałem, nie rozważałam słów wypowiedzianych i nie wypowiedzianych, przez te ostatnie dni on stale towarzyszył Magdzie, agencja „Ucho” donosiła, że wyjeżdżają wspólnie na jeziora, podobno Magda ma tam fantastyczną dachę, łódź, plażę i bodaj kort tenisowy. No więc mogłam sobie wyobrazić Michała pod białymi żaglami albo wysyłającego piłki silnym uderzeniem z głębi kortu, ale sobie nie wyobrażałam. Za to jakoś zupełnie inaczej zaczęłam widzieć ludzi i rzeczy, czasami miałam dziwne wrażenie, że odślaniają się przede mną jakieś tajemnice, że rozumiem coś dotąd niepojętego.

Nigdy dawniej nie przychodziło mi do głowy, że inni ludzie także mogą mieć sekrety podobne do moich, że bywają nieszczęśliwi albo szczęśliwi, że trują się gorzkimi myślami, że szukają wyjścia z labiryntów, w których zgubili drogę. Wpatrując się w twarze, starałam się odgadnąć, co skrywa pod przymrużonymi powiekami zmęczona kobieta, co zapisują zmarszczki na czole starego człowieka, co oznacza gorzki grymas ust, uciekające spojrzenie, westchnienie podobne do chlipnię-cia, niskie pochylenie głowy. Dopiero teraz zaczęłam rozumieć dorosłych, przedtem dzielili się na bliskich i obcych, młodszych i starszych teraz dowiedziałam się, że oni są tacy sami jak ja, tyle że przeszli już dłuższy szmat drogi, którą i ja idę.

— Gośka, chodź puszczaj latawca.

Rzecz jasna, latawca i jego ogon wykleiłam ja, wprawdzie według instrukcji dziadka. Mały uważał się jednak za twórcę ogoniastego dziwo-wiska i nie wolno było niszczyć tego przekonania.

— Zaczepi o druty.

— Trzymaj, trzymaj, bo uciekniesz!

— Za mocny wiatr.

Nagle przyszło mi do głowy, że jeżeli latawiec zerwie sznurek, a wiatr go poniesie za rzekę, tam, gdzie szosa prowadzi do Warszawy, to będzie znaczyło, że coś się jeszcze wydarzy, że sprawa, o której myślałam tyle miesięcy, jeszcze nie została zakończona.

6 — Dwa] mężczyźni i ona

81

Rzeczywiście, sznurek się zerwał, latawiec osiadł na czubku ogromnej topoli, boleśnie poszarpany, przebity ostrym szpicem gałęzi.

Potem było jak co roku. Łaziłam po lesie, później czyściłam czerwone kozłaki o omszonych nóżkach, zdierałam kleiste skórki z maślaków, oddzielałam kapelusze od pękających trzonów prawdziwków. Zgodnie z instrukcjami babci, układałam je w blaszkach na słomie. Grabiłam siano, przemieniając się przy okazji w gotowanego raka (pomagają okłady ze zsiadłego mleka), wjechałam wozem do rowu, widziałam, jak się rodzi żrebak, kłuałam siew rowach pędami jeżyn, podglądałam rodzinę dzikich łabędzi, dwa śnieżnobiałe ptaki czujnie opływały stado dużych szarych piskląt, uważne na mój każdy ruch.

— Kiedy wracamy do domu?

— Nudzi ci się, Mały?

— Nie, wcale nie.

— To dlaczego chcesz wracać?

— W domu jest naprawdę.

— Co jest naprawdę?

— Wszystko.

Ja też miałam takie wrażenie, od rana, gdy budziło mnie kogucie pianie, do wieczora, gdy refleks zachodzącego słońca zabarwiał na złoto szyby ganku obrośnięte dzikim winem. Tutaj nic nie było naprawdę, prawdziwe życie pozostało daleko, Mały chciał spotkać się z nim jak najprędzej, ja wolałabym zostać w tej nieprawdziwości, chociażby dlatego, że stąd wiele rzeczy wyglądało zupełnie inaczej, można się było uśmiechać z rozbawieniem, albo zapomnieć.

— Jak ty, Małgosiu, zabierzesz mąkę? — Babcia utyka w plecaku i torbie mnóstwo dobra, suszone grzyby, boczek, słoiki z wiśniowymi konfiturami. — Z kapslem butelka, ale kto wie, sok zawsze może się rozlać, a może by Tomcio zostawił krokodyla albo pięć samochodów? Wasz tata zabierze, kiedy przyjedzie.

— Niech Gośka coś zostawi. — Sprzeciw Małego jest kategoryczny, nie zamierza rezygnować ani z krokodyla, ani z samochodów. — Ja nie!

— Jakoś dam sobie radę. — Ten nieletni potwór doskonale potrafi wyzyskiwać starszą siostrę i w dodatku uważa to za rzecz sobie należną. — Sok włożymy do reklamówki. I słoiki też.

Prosto z pociągu Mały biegnie do innych małych, roznosi go chęć

82

przekazania wrażeń i sprawdzenia, czy przypadkiem coś nie zmieniło się w świecie, który opuścił prawie dwa miesiące temu. Zazdroszczę Tomkowi, ma pewność, że spotka to, co lubi, zjeżdżalnię, kolegów, czarnego pudła, osiedlowe uliczki pokryte asfaltem zgarbaciałym w letnie upały, piaskownicę, na której obrzeżu grywa w kapsle, budkę, w której kupuje gumę do żucia i lizaki, samochody ustawione rzędami wzdłuż biegu ulicy. Wyrosłam z tego wszystkiego, mnie to nie cieszy, wcale nie wiem, do czego wróciłam.

Czasu na medytację nie ma. Muszę kupić podręczniki, bruliony, tenisówki,

telefonuje Elka, zaraz po niej Krzysiek. Jasne, razem polatamy po sklepach. Jak było? Kogo poznałaś? Będziecie do siebie pisać? Bomba! Co? Antonina wybyła? Bogu chwała i krzyżyk na drogę. Jutro? Dobra, jutro pochodzimy za tenisówkami. Czólko, Elka. Czólko, Krzysiek.

Już teraz wiadomo, że ja także wróciłam mniej więcej w to samo miejsce, z którego wyjechałam w ostatnich dniach czerwca. Żaden wulkan nie wybuchł, żadna powódź nie zmiotła niczego jęzorem fali, jedyna sensacja dotyczy Antoniny, wyjechała z rodzicami, co sprawiło, że przestanie prezesować agencji „Ucho”.

— Nie kupię białych — grymasi Elka. — W centrum są wszystkie kolory. Jedziemy? Już kupiłam swoją parę tenisówek. Mama prosiła, żebym wracała jak najprędzej, dzisiaj inkasent odczytuje licznik, mam zresztą dosyć tłoczenia się do lady w kolejnych sklepach, wygląda na to, że wszyscy tego samego dnia postanowili nabyć obuwie tekstylne. Więc Elka sama rusza na dalsze poszukiwania.

— Hej!

Nie poznaję tego głosu, przez moment także nie poznaję Michała, wydaje się większy niż ten ze wspomnień, doroślejszy, jakby obcy! Jedno jest pewne, ucieszył się tym spotkaniem, to wiem na pewno, nie próbując wcale zgadywać, skąd czerpię to mniemanie. Jeżeli chodzi o mnie, nie jestem pewna ani swojej radości, ani zaskoczenia, pewnie tak musiało być, że trzymając paczkę z tenisówkami spotkam Michała pod czerwonym słupkiem przystanku.

Wsiadamy razem. Czy to nie zabawne, że jeziora, góry i morze widziałam tylko na ekranie? Chciałabym kiedyś popłynąć łodzią pomoście ze słonecznego blasku, widząc jak z pióra wiosła skapują zło-

83

cistę krople wody, albo zobaczyć, jak trzciniowe oczerety zastygają w podpełzających z lasu cieniach nocy. Czy w moich wakacyjnych opowieściach jest coś, czego można mi zazdrościć?

— Gosica! — krzyczy Mały, przemykając obok nas na deskorolce, gdy przemierzamy osiedle. — Gosica!

Michał wydaje się zaskoczony wieścią, że mam brata, jakby posiadanie brata było czymś osobliwym i niepospolitym, tera[^], kiedy obserwuję go z pewnego dystansu, to zaskoczenie wydaje mi się zabawne. A jakbym miała siostrę bliźniaczkę? Albo pięciu braci?

Z tenisówkami trzymanymi w ręku wsiadam do windy. Z piątego piętra widok jest rozległy, przez okno klatki schodowej widzę jeszcze Michała, oglądany z wysoka wydaje się mały jak krasnoludek, idzie sobie ani szybko, ani wolno i noskiem buta pokopuje coś niedostrzegalnego dla mnie.

Nim otworzę drzwi, zdaję sobie sprawę, że ani dzisiaj, ani przed wakacjami Michał ani słowem nie wspomniął o Magdzie. Wtedy, w czerwcu, nie było okazji, by ją wspominać, ale przecież jestem świadoma, że byli wspólnie nad jeziorem. Może więc nie jest wcale tak, jak donosiła agencja „Ucho”? Może to było zupełnie inne jezioro? Może oni nie chodzą ze sobą? Tyle razy widywałam ich razem, wychodzili z szatni, rozmawiali przy oknie, ona cesała mu włosy albo zawiązywała apaszkę, popijali kiedyś coca-colę z jednej puszki, ale czy to cokolwiek znaczy?

Gdyby znaczyło, musiałyby paść jej imię. Zresztą, nie chodzi o imię, wspomniałby o swojej dziewczynie, gdyby naprawdę byli razem, jak się o nich mówiło. Kiedy chodziłam z Remkiem, ciągle o nim gadałam: Re-mek powiedział, Remkowi się podobało, idziemy z Remkiem, coś ty, mama, przecież opowiadałam o Remku, nie pamiętasz? Wtedy, gdybym nawet została zaczepiona przez reportera w ulicznej sondzie, też pewnie wspomniałabym o Remku, przy okazji, na przykład, reformy

służby zdrowia, bo o takie dziwne rzeczy na ogół pytają dziennikarze. Czemu Michał omija tamto imię? Jaki jest powód jego milczenia?

Czy wobec tego mam prawo popatrzeć na Michała zupełnie inaczej? Czy to możliwe, żeby on i ja? Czy te spotkania są rzeczywiście zupełnie przypadkowe? Tak sądziłam dotąd, ale to nie musi być prawda.

Dawno nie oglądałam swojego odbicia w lustrze z taką ciekawością. Nie, nic się nie zmieniło, ani dołki w policzkach, ani jasne rzęsy i brwi. Nos mam jak dawniej przykrótki i włosy stroszące się wicherkami, nowa

84

jest tylko opalenizna, ale za miesiąc nie pozostanie po niej ani śladu. Niestety, nie przemieniłam się w piękność, zdolną przyćmić urok Magdy. Tylko czy ja jestem zupełnie bez szans? Takie brzydkie kaczątko? Małgośka, równy facet?

Wiesz, że Michał się przeniósł, spadła na mnie niczym cegła z wysokiego dachu na głowę niczego nieświadomego przechodnia.

— Odstrzeliło mu — skomentowano na korytarzach. — Szurnięty facio, sam nie wie, czego chce.

— Magda chodzi z Magikiem.

— Zrobił ją w kucyka, no nie?

— To zależy, jak popatrzeć, może to ona jego zrobiła w kucyka? Łaciatego w dodatku.

— A jak starzy kazali? W tamtym ogólniaku jest autorski program matematyczny.

— Wymyśliła! Leń patentowany, z atestem.

Mogli sobie gadać do woli, snuć przypuszczenia, najważniejsze było to, że ja także zostałam oszukana. To jasne, że Michał nie ma obowiązku tłumaczyć się z tego, co robi, jego sprawa, ale pożegnaliśmy się tak, jakbyśmy się mieli zobaczyć jutro czy pojutrze, gdy zadzwoni wrześniey dzwonek. Nie umiem tego sprecyzować, w tym milczeniu było coś paskudnego. A może nie było? Co mnie może obchodzić przeniesienie cudzych papierów do innego liceum? Nic mnie nie obchodzi. Na dobrą sprawę, wcale go nie znam. On mnie także.

Wy tłumaczywszy sobie Michałowe milczenie, wcale nie poczułam się raźniej, czułam się zrobiona na szmaty, zlekceważona, wtupana w ziemię. Był taki okres, że byłam gotowa na największe głupstwo, byle tylko znaleźć się blisko niego, słuchać, co mówi, móc go dotknąć, kiedy zaś moje niemądre marzenia się ziściły, okazało się, że traciłam czas na wyobrażenie sobie Bóg wie czego, ja tyle obchodzę Michała co zeszłoroczny śnieg albo makowiec zjedzony w dawno minioną wigilię.

Stało się coś dziwnego. To znaczy nie stało się nic, ale jestem pewna, że w spojrzeniu Magdy była nienawiść. Minęliśmy się w wejściu do szatni, to spojrzenie sparzyło moją twarz, ja je po prostu poczułam, wargi Magdy poruszyły się niemo, jakby chciała coś powiedzieć, prze-szłyśmy obok siebie w milczeniu, uniosłam jej gniew za sobą, chyba wołałabym już, żeby rzuciła mi to, co ukryła w bezgłośnym poruszeniu warg.

85

— Są zmiany? Kto was uczy? — Rzecz jasna, rodzice mają prawo zadawać takie pytania. — Siedzisz z Elżbietą? Przybyli jacyś nowi koledzy? Masz już stały plan zdjęć?

— Nie wyglądasz zbyt dobrze — martwi się mama. — Czy ty, Gosiu, zbyt długo nie palisz światła? W twoim wieku trzeba się dobrze wyspać, nie wolno zarywać nocy.

Czy muszę tłumaczyć takie rzeczy dorosłej dziewczynie?

Mając pewność, że Mały zasnął snem głębokim i ciepłym, otwieram swój nieszczęsny brulion.

„Dzień X. Dalszy ciąg nastąpi. Dalszy ciąg nie jest przewidziany. Do wyboru”. Zawieszam czubek długopisu niczym ostrze katowskiego miecza nad ciemnym makiem liter, zamazuję mocno, gniewnie to, że dalszy ciąg nastąpi. Zamazuję, że do wyboru. Nie ma wyboru ani dalszego ciągu. Nie mam zielonego pojęcia, jak się nazywa ta gra, w którą miałabym zagrać z Michałem, ale ja nie mogę grać w coś, czego reguły nie są mi znane, to jest coś takiego, jakbym zgodziła się zagrać w kometkę, a okazałoby się, że mam rozegrać mecz ze Steffi Graf, na oczach tysięcy widzów.

Najgorsze dopiero czekało. Oszukiwałam samą siebie, gdybym twierdziła, że nie ucieszyłam się widząc Michała, strasznie się ucieszyłam, mało brakowało, żebym podbiegła do niego, chociaż jak drzazga tkwiła we mnie świadomość, że jakoś zostałam oszukana, teraz wiem, że można kłamać, nic nie mówiąc. Mimo to serce zabiło mi mocniej, z trudem zmuszałam się, by iść nie przyspieszając kroku, iść najzwyczajniej, jakby nie stał pod siatką i nie patrzył na mnie.

Powinłam mu była powiedzieć, że Magda jest jeszcze w szatni, pudruje nos, a Magik, ten wysoki koszykarz, trzyma przed nią lusterko, ale zaraz wyjdzie. To właśnie powinłam była powiedzieć i odejść w ślad za Elżbietą i Joanną, a jednak utknęłam jak ostatnia debilka przed Michałem, ciesząc się tym, co mówi.

Wszystko, co wychrypiała, wycharczała, wysyczała Magda było jak uderzenie w twarz. Pod ulewą słów kurczyłam się tylko, niezdolna ani do odpowiedzi, ani do ucieczki.

Ale najstraszniejsze było to, że Michał tkwił jak kulek między nami dwiema i milczał, pozwalając, by tamte złe słowa ukamienowały mnie i poraniły, żebym płakała w bezsilnej rozpacz, łzy same potoczyły się

86

po policzkach, nie ocierałam ich, nie zasłaniałam splakanej twarzy. Widział i słyszał wszystko, i milczał, aż ona odeszła.

Biegłam przed siebie, z jednym tylko pytaniem tłukącym się pod czaszką: Czemu mnie to spotkało? No, czemu? Co takiego zrobiłam? Co jest moją winą?

Chyba musiał mnie gonić, bo zabiegł mi drogę, coś chciał tłumaczyć, przeproszać, wyjaśniać. Strząsnęłam jego rękę i rozkazałam tak, jak czasami rozkazuję Małemu: — Znikaj! I żebym cię więcej nie widziała.

W żadnej książce nie było takiego obrzydliwego zakończenia, czytałam ich wiele, nigdy nie natrafiając na coś podobnego. Kto mnie ukarał za zainteresowanie nieznanym mi chłopakiem, kto sprawił, że moje i jego drogi przecięły się, kto sponiewierał mnie tak okrutnie za kilka chwil głupiej radości?

Wykreślam Michała. Nawet gdybym miała tego żałować do końca życia, wykreślam go. Nic mnie nie obchodzi, jaki jest. Zamazuję jego imię, zapominam o nim. Koniec, głupia Małgorzato. Czy tak sobie wyobrażałaś tego chłopaka, zapisując kolejne strony w brulionie pełnym tajemnych westchnień i smarkatych marzeń?

Nikt nawet nie przypuszcza, jaka potrafię być twarda, niech mnie boli przenikającym do samego serca bólem, niech płaczę gryząc róg poduszki, żeby zdusić szloch, niech chwytam paskudne uśmieški i szelest obmowy („Ale jej Magda nawkładała! Bezczelna, przyczepić się do cudzego chłopaka”, „Takie nic, a proszę, wkurzyła Magdusię aż miło”), a ja, jakby nigdy nic, głowa do góry, nawet się uśmiechnę, jeżeli trzeba.

Telefonuje, rzucam słuchawkę, usłyszawszy jego głos Czeka mijam go jak powietrze. Pisze, wrzucam do kubła na śmieci nie rozpieczętowane listy, skreślam go i za to, że telefonuje, i za to, że czeka i za to, że pisze. Gdyby dano mi władzę unicestwiania, bez zmrużenia powiek i chwili wahania skazałabym go na katowski

topór. Pewnie tyso mu teraz, ale jeżeli byłam elementem jego gry, to pięknie mu się udało wyprowadzić Magdę z równowagi, mogło chodzić o to właśnie

— Coś taka jak z krzyża zdjęta? Drażni mnie matczyzna ciekawość.

— Źle spałam, głowa mnie boli — odbąkuję półgębkiem

— Wróciłaś opalona, roześmiana, miło było popatrzeć. Chyba zapiszę cię do lekarza, Gosiu. Cała poszarzałaś. Nie podoba mi się to.

87

Tylko jeszcze lekarza brakowało!

Strasząc się niby przestraszony jeź wobec niepokoju mamy, miałabym jej równocześnie za złe, gdyby niczego nie zauważyła. W osobliwej dwoistości pragnę kogoś, kto by mnie żałował i głąskał po włosach i odpycham tego kogoś, jeżeli znajdzie się zbyt blisko mojego bólu.

Maska, którą sobie przykleiłam do twarzy, wcale nie jest wygodna, noszę ją i w domu, i w szkole, nawet wieczorem nie mogę przestać rozciągać warg w uśmiechu; dzielę pokój z Małym i przed nim także muszę ukrywać to, co czuję.

Rozkleiłam się raz tylko w obecności Krzyśka.

— Gośka! Stało się coś?

— Nic sienie stało.

— Płaczesz?

— A bo tak. Nie rozumiesz.

— Sam omal się nie poryczę, kiedy ojciec zaczyna kazania. Jak słyszę, że on w moim wieku, to mam ochotę głośno zawyć.

— Jak wilk?

— Lepiej. Jak wilkołak.

Przy dziewczynach bardzo się pilnowałam, rajcował je widok Michała przed wejściem do szkoły, okropnie były ciekawe, na kogo czeka: na Magdę czy na mnie. Chytrze usiłowały coś wyciągnąć, by móc po korytarzach kolportować ostatnie news pod tytułem: zwierzenia Małgoś-kizillb.

W normalnym czasie, gdy dni wiją się równym rzędkiem przerywanym a to porannym biegiem do autobusu, a to sprawdzianem, rozmową od serca z Elką, zjedzeniem zapiekanki z hamburgerem, kolejną scysją z Małym i zrobieniem porządku w szufladzie, więc w takim normalnym czasie dni uciekają nie wiadomo kiedy, nie zdążysz się obejrzeć, a już rozbrzmiewają fanfary wieczornych wiadomości. Za to w czasie kiedy ktoś, jak ja, wypada z codziennej orbity, godziny rozciągają się w nieskończoność, z lękiem myślisz, jak przetrwać od rana do wieczora, nie wiadomo, co ze sobą zrobić, gdzie uciec od tego, co osacza ze wszystkich stron.

— Czy teraz jest wrzesień? — informuje się Mały. Powinien to wiedzieć, ale kto pyta, nie błądzi.

— Już się kończy.

88

— Daleko do wakacji — wzdycha, niepomny, że kilka tygodni temu cieszył się na powrót do domu.

— Daleko — zgadzam się z Tomkiem, widzę przed sobą pustkę bez końca i początku, przez którą będę musiała przejść. Żebym chociaż wiedziała, że gdzieś napotkam Źródło Zapomnienia, źródło z bajki, leczące ludzkie smutki chłodnym łykiem wody. Tak naprawdę, tych dni już upłynęło sporo, już się zaczynają układać w tygodnie. Coś się już zatarło, mama przestała mnie wysyłać do lekarza, albo się przyzwyczaiła, albo to ja przestałam obnosić na pokaz swoją klęskę, zrobiłam co mogłam, żeby ją pomniejszyć, zbagatelizować, z wiadomości drukowanej wytluszczonymi literami na pierwszej stronie sprowadzić to do notatki *petitem* na

ostatniej.

— Nic nie poradzę na to, że Magdzie odbiło — zwierzam się Elce, jest to wyznanie przeznaczone dla ogółu. — Ja tego Michała prawie' nie znam. Właśnie chciałam mu powiedzieć, że Magda jest jeszcze w szatni.

— Trzeba było jej zdrowo nagadać.

— Oniemiałam jak wędzona makrela. Jak ktoś krzyczy, to ja dopiero w kwadrans później wiem, jak mam odpowiedzieć. — To zresztą jest prawda, co nie sprawia, że redagowanie wersji oficjalnej staje się dla mnie łatwiejsze.

— To nagadaj jej teraz.

— Boję się. Prawdziwa ciotka wścieklica.

— Pójdę z tobą. Inne dziewczyny także pójdą. Chcesz, zrobimy to jutro na dużej pauzie.

— Po co robić tej debilce przyjemność? Ubóstwia, żeby o niej mówić, dobrze czy źle, to nieważne, ważne, żeby być gwiazdą. — To też jest w pewnym sensie prawda, dodawszy poprawkę, że moje sumienie nie jest tak kryształowe, jakby się wydawało.

— Nie nadaję się do pyskówek.

— No to może ja... — ofiarowuje się Elka z przyjacielskim wsparciem.

Ani ona, ani ja, ani nikt inny. Niech to ucichnie, przepali się, zostanie przysypane popiołem milczenia. Swoją drogą, nie jestem w stanie zrozumieć, co Michał ma mi do powiedzenia. Czemu pisze te swoje listy? Czemu próbuje mi coś powiedzieć? Co chciałby mi przekazać przez telefon?

89

Może, gdybym to wiedziała, łatwiej byłoby mi wędrować przez smutek dni. Debilizm do szczęścia. Nic nie byłoby łatwiejsze, najłatwiej jest zapomnieć. I ja to właśnie robię, tyle że nie zapomina się na zamówienie. To musi potrwać.

Zdarzenia wlewają się w ustalony porządek, pomagam ojcu malować kuchnię, Mały ochlapany od czubka głowy do stóp emulsyjną farbą, pełen dobrej woli, kręci się pod drabiną i przeszkadza. Ojciec się spieszy, mają wyjechać razem z mamą na sobotę i niedzielę, nie zostawi mnie i Tomka w rozgrzebanej kuchni. Finiszujemy w wyznaczonym terminie, ściany śnieżnej białości, szafki pomyte, talerze i gary ustawione na swoim miejscu, okno się błyszczy. Kontakt z mokrą ścierką i zmywakiem działa uspokajająco, tak jak kojąco działa tłumaczenie z łaciny. Gdzie, u diabła, jest to orzeczenie?

Przecież już nie raz i nie dwa rozracałam opiekę nad Małym, za każdym razem mama zachowuje się tak, jakby musiała mi wyjaśnić nie tylko to, co powinnam zrobić, ale kto to właściwie jest Tomek. On sobie doskonale da radę beze mnie, umówiłam się z Krzyśkiem, wrócę, nim się ściemni.

— Dlaczego jest tak, że ktoś musi dawać dużo więcej niż ten drugi?

— Ty o czym? — Z Krzyśkiem można pogadać, niczemu się nie dziwi, stara się rozważyć problemy teoretycznie, nie trzeba mówić o sobie, chyba że się chce.

— Jak ludzie są razem, zawsze jedno jest krzywdzone.

— Naczytałaś się harlequinów. Wyłaż, Gośka, z ogrodów miłości. Konkretnie, o co chodzi?

— Czytałaś już „Lalkę”? Wokulski się zabił, a Izabela nawet nie wiedziała, jak go skrzywdziła.

— Maryla pewnie także nie wiedziała, jak krzywdzi Adama. Ludwika nie miała pojęcia, że rozdziera serce Juliusza. Unikaj poetów, Gośka, opiszą cię jako potwora bez serca.

— Ja mówię o życiu.

— W takim razie unikaj egoistów. Bardzo dobra rada wuja Krzysztofa.

— Jak się poznaje egoistów?

— Zgłoś się za parę lat, to ci wyjaśnię. Możesz zresztą napisać do rubryki „Psycholog odpowiada” albo coś w tym guście. Oni są kompetentni. — Krzysiek przerwał przegrzebując kieszenie. — Bryndza z tych klasycznych. Może byśmy się wspólnie rzucili na jeden sok?

90

Żałuję, że nie zaprosiłam Krzyśka do pustego mieszkania, * tego oczywiście gdzieś wyniosło, ma fioła na punkcie wideo, potrafi oberzeć pod rząd trzy filmy i nie miałby nic przeciwko czwartemu, ???? go poszukać, chyba wiem, gdzie go znaleźć. Jeszcze wiosną wyniosła tego tumanka na karuzelę, kawał drogi od osiedla, ale i wtedy go znałam, dzięki zręcznie przeprowadzonemu śledztwu. Rzadko się zdarza, żebym była sama w mieszkaniu. Jeżeli nawet Tomek bawi się na dworze, to co kilka minut naciska z całej siły ^wo-nek, bo zapomniał kapsli, gangsterskiego samochodu, bo chce mu się pić, musi pójść do łazienki, coś by zjadł, rozdarł od góry do dołu nogawkę albo przyprowadził innych małych, żeby przed naszym telewizorem obejrzeć Bzyczka i jego przyjaciół. Dzwonki mniej gwałtowne zapowiadają wizyty popchniętych albo oplutych dziewczynek, rozwścieczonej babci Lidki (paskudna smarkata swoją drogą), właściciela wybitej piłką szyby albo kogoś, kto został staranowany deskorolką. Trudno o spokój i samotność, ale tego wrześnieowego wieczora mam wreszcie dla siebie ciszę między tymi ścianami. Mogłabym pisać, ale odsuwam brulion. Wolę nie odnotowywać kolejnych etapów mojej klęski. Jakoś wydawałam się sama sobie dużo bardziej do rzeczy, a wystarczyło tych kilka spotkań z Michałem, żeby się okazało, że jest zupełnie inaczej. O co mi chodziło? O miłość? Daj spokój, Gośka, bądź poważna. Jak to jest miłość, to ty jesteś chiński cesarz albo królowa angielska. Miłość! Też pomysł. Spodobał mi się chłopak, wymyśliłam sobie to i owo, potem go poznałam i klops. Jak w tym starym głupim dowcipie o puchnięciu. Spuchłam aż miło.

Jest inaczej niż zwykle w ciemnym pustym mieszkaniu. Milczy radio i telewizor. Nikt nie przebiega z pokoju do pokoju. Ściany są ciche, za oknem jesienny wieczór zapala kolejne gwiazdy. Siedzę w ojcowym fotelu i nagle uświadamiam sobie, że czekam, nie, wcale nie na Małego, chociaż najwyższy czas, żeby wrócił, czekam na telefon. Patrzą na słuchawkę leżącą na widełkach, nad słuchując sygnału. Gdyby Michał teraz zadzwonił, co bym mu powiedziała?

To chyba byłoby tak: nie możesz mnie przeprosić, przepraszanie to za mało. Mnie nie chodzi o to, co ona powiedziała, olewam to, mnie chodzi o twoje milczenie. Jesteś to w stanie zrozumieć? W porządku. Wybij sobie z głowy. Nie. Takich kolegów jak ty mam na pęczki. Że ty to

91

traktujesz inaczej? Przykro. Mylić się jest rzeczą ludzką, jak powiedział pewien filozof. Co mógłbyś mi jeszcze powiedzieć? — Tutaj może mój głos by trochę złagodniał. — No, to mów, jeżeli koniecznie musisz, mam akurat chwilę czasu, posłucham.

O Boże, czy to znaczy, że chcę wiedzieć, kim dla niego jestem? Przecież wiem, że nikim ważnym. Broniłby mnie przed słowami Magdy, gdybym coś dla niego znaczyła. Powinnam dać sobie spokój z rozważaniem, co by było gdyby. Nic by nie było. Kompletnie nic. Żeby mnie przebłagać, musiałby zrobić coś nadzwyczajnego. Znowu idiotyzm! Co nadzwyczajnego może zrobić taki Michał? Wspiąć się na nasz balkon na piątym piętrze, rzucić mi pod nogi zamszową kurtkę, żebym nie zabłociła adidasów, wręczyć nieoczekiwanie bukiet ze stu osiemdziesięciu róż? A jednak

patrzę dalej na słuchawkę telefonu. Nie ma ojca, mamy, Małego. Może by się okazało, że te potłuczone skorupy da się jakoś poskładać. Czemu mi się wydaje, że Michał zatelefonuje właśnie dzisiaj, właśnie teraz? Przecież nie wie, że jestem sama w pustym mieszkaniu. Skąd mógłby to wiedzieć?

Robi się coraz później, a ja ciągle gapię się na słuchawkę milczącego telefonu. Wreszcie robi się tak późno, że wyruszam na poszukiwanie Małego.

— Tomcia u nas nie ma.

— Nie było go dzisiaj wieczorem.

— Nie ma. Jacek już w łóżku.

— Nie przychodził. Darek, Małgosia pyta, czy nie wiesz, gdzie poszedł Tomek? Krasnalowaty Darek marszczy w namyśle czoło.

— Pojechał z jednym panem.

— Jak to: pojechał? Z jakim panem?

— Nie wiem. Ten pan powiedział, że kogoś przewiezie i zabrał Tomka.

— Do samochodu? — Nogi się pode mną uginają. Jak spojrzę mamie w oczy?

— Nie. To była motorynka. Czerwona. Jeszcze chwila, a upadnę, kręci mi się w głowie.

— Co to był za pan? Znasz go? — Z pomocą rusza mi matka Darka. — Stary? Młody? Jak ubrany?

— Zwyczajnie. — Okazuje się, że Darek zapamiętał nalepkę na

92

baku z misiem Yogi, ale o właścicielu motorynki nie ma nic do powiedzenia mimo wielu pytań, pytamy na przemian ja i jego matka, Darek ziewa marząc o powrocie do łóżka.

— Nie denerwuj się, Małgosiu — radzi mi Darkowa mama. — Spytaj innych chłopców. Może oni coś pamiętają.

Nie pamiętają. Z trzęsącymi się rękami, bliska płaczu, biegam od drzwi do drzwi, naciskając dzwonki.

— Trzeba zawiadomić policję — radzą mi rodzice innych małych. — Tutaj chodzi o dziecko, muszą przyjąć meldunek.

— Ja bym się wstrzymał. — Tylko ojciec Jacka wyklucza pośpiech. — Jeszcze nie ma dziewiątej, wcale nie jest tak późno. Trzeba poczekać z godzinkę, a nuż zguba się znajdzie?

Mały nie ma klucza, nie mogę biegać między blokami, kto go wpuści do domu, jeśli wróci?

Miotam się po mieszkaniu, nie podnoszę przewróconego krzesła, niech leży, jakie to ma znaczenie. Wiele razy biorę i odkładam słuchawkę. Dzwonić na policję, nie dzwonić? Nie potrafię się zdecydować na nic. Każdy hałas na korytarzu powoduje, że rzucam się do drzwi, ale to tylko winda jedzie do góry, sąsiad wynosi śmieci, gruby jamnik ze swoją właścicielką wraca ze spaceru.

Dobrze ci tak, idiotko, rozwaliłaś się na fotelu zastanawiając się, jakbyś rozmawiała z Michałem, gdyby zatelefonował i wcale ci nie przyszło do głowy, żeby się zainteresować nieobecnością Tomka. Gdybyś wcześniej ruszyła na poszukiwania...

Tomek odjechał, jak było jeszcze jasno. To nie tak. Chodzi o to, że gapienie się w telefoniczną słuchawkę było ważniejsze niż powrót Mał^e go. Obiecałam mamie, że przypilnuję. Jak pilnowałam? Ja tego nie przeżyję. Spraw, Boże, żeby Mały się znalazł. Ja już nigdy nie pomyślę o Michale, nie będę prosiła o nową kurtkę, nie będę się spóźniała na matematykę, zrobię wszystko, tylko niech Mały się znajdzie. Jak się modli babcia? „Święty Antoni Padewski, obywatelu niebieski, niech nie

zginie sława twoja, niech się znajdzie zguba moja". Święty Antoni, wysłuchaj mnie. A może jednak dzwonić na policję? Już po dziewiątej, wskazówki pełną nieubłaganie naprzód.

Otworzyłam okno, spojrzałam w ciemność. Nie wytrzymam tego, wyskoczę. To lepsze niż czekanie, niż miotanie się, lęk o Małego. Czy to ja twierdziłam, że Tomek jest nieznośnym dzieciakiem? Proszę, bł-

93

gam, niech mnie się stanie to, co może się stać Małemu. Cokolwiek to jest, niech spadnie na mnie. Na mnie, nie na niego. Ja przysięgam, że nigdy nawet nie pomyślę o Michale, jeśli Mały wróci...

Wykręcam numer komisariatu, myślę cyfry. I wtedy głośno, przeciągle odzywa się dzwonek. Porzucona słuchawka dynda na sznurze, a ja krzyczę na Tomka stojącego przed drzwiami i sama dziwię się mojemu krzykowi.

Z tym krzykiem spływa ze mnie całe napięcie. Po co się tak denerwowałam, znając pomysły Małego? Pan od motorynki okazał się bratem jakiegoś smarkacza, który zawiózł Tomka na grę telewizyjną i świeżo upieczony sernik. Tam Tomek, oczywiście, stracił poczucie czasu, którego zresztą nigdy nie miał.

— U Sławka nie ma telefonu? — Mały zjada już trzecią bułkę, swoją drogą to zdumiewające, że opchawszy się sernikiem, potrafi jeszcze tyle pochłonać. — Nie mogłeś zatelefonować?

A ten bezczelny osioł pokazuje mi język! Wytrzeszczając oczy, wywala na całą długość jęzor. Nie, tego nie zniosę! Nawet mu do łba nie przyjdzie, co ja przeżyłam, podczas gdy on przyciskając joystick puszczał po ekranie myśliwce i łodzie podwodne. Ja już mu pokażę, co znaczy starsza siostra.

Chociaż Mały ma poważne pretensje do Gośki, która przy pomocy mamy wprowadziła codzienne pół godziny głośnego czytania, przy każdej pomyłce zarządzając odczytanie zdania od początku, dalej uważa, że sprawa porywacza jest tylko jego sprawą. No i porywacza, oczywiście, ale porywacz już się nie liczy.

Jeśli już Gośka musi mieć chłopaka do noszenia torby, Mały jest zdania, że tym chłopakiem może być Krzysztof. Po pierwsze, Krzysztof pokazał Małemu, jak wjeżdżać na murek, nie odrywając stóp od deskorolki. Po drugie, Krzysztof ma akwarium i obiecał Małemu parę neonków albo mieczyków. Gośka nic nie wie o tych neonkach, nie jej sprawa, żadna dziewczyna nie hoduje rybek.

Jeśli Mały nie może mieć psa, będzie miał rybki. W akwarium falują wodorosty w bulgocie baniek powietrza, w górę i w dół po szkle suną ślimaki, a na przemytym piasku na rybki czeka grota ulepiona z musze-

94

W

lek i kamyczków. Rybki nie brudzą i nie szczekają, mama już się <? ła. Jak tylko ojciec kupi akwarium". ???*? powędruje ze słoiem p^ neonki czy mieczyki, a może naWet t0 bCda- Piskie, czarne i sreDrr^ skalary?

Mały bardzo uważa, żeby się nie wygadać, co naprawdę wydarzyło się tamtego wieczora. Wygadać si# może tylko przez sen, ale na szczęście nie śni mu się porywacz, piwnica, tamten dom ani pręgowany Rambo. Małemu śnią się ostatnio vwie|oryby, rekiny i ośmiornice, nie ma obawy, że powie głośno przez sen coś, czego nie powinien powiedzieć.

ISIS

> WOKÓŁ NAS biblioteka powieści młodzieżowej

1. A-. Minkowski

2. K. Siesicka
 3. E. Przybylska
 4. A. Minkowski
 5. K. Siesicka
 6. M. Kruger
 7. E. Nowacka
 8. K. Boglar
 9. Z. Chądzyńska
 10. K. Siesicka
 11. K. Siesicka
 12. E. Nowacka
 13. M. Kruger
 14. K. Siesicka
 15. M. Borowa
 16. M. Kruger
 17. A. Bahdaj
 18. K. Berwińska
 19. E. Przybylska
 20. S. Kowalewski
 21. A. Lewańska
 22. S. Kowalewski
 23. A. Minkowski
 24. K. Siesicka
 25. S. Kowalewski
 26. K. Berwińska
 27. E. Nowacka
 28. A. Wetter
 29. K. Boglar
 30. K. Siesicka
 31. E. Nowacka
 32. A. Minkowski
 33. M. Fox
 34. K. Boglar
 35. E. Nowacka
- Szaleństwo Majki Skowron
Ludzie jak wiatr
Dotyk motyla
Ząb Napoleona
Beethoven i dżinsy
Po prostu Lucynka P.
Dzień, noc i pora niczyja
Supergigant z motylem
Przez ciebie, Drabie!
Moja droga Aleksandro
Obok mnie
Emilia z kwiatem lilii leśnej
Odpowiednia dziewczyna
Chwileczkę, Walerio...
Dominika znaczy niedziela
Szkoła narzeczonych

Telemach w dżinsach
??? Amore
Ptasi instynkt
Czarne okna
Sonata dla Natalii
A jeśli powiem nie
Zakładnik szaleńca
Przez dziurkę od klucza
Nie ma ceny na miód akacjowy
Ach, ta fatalna trzynastka!
Może nie, może tak
Zupełnie jak w filmie...
Stonoga
Fotoplastykon
Dwaj mężczyźni i ona
Księżniczka i Mag
Magda.doc
Zobaczysz, że pewnego dnia...
As w rękawie
Drogi Czytelniku!

Zapraszamy Cię do korespondencyjnego zamawiania książek. Napisz do nas, a bezpłatnie otrzymasz aktualny katalog i cennik naszych publikacji. Klub Siedmwróg jest największą w Polsce księgarnią wysyłkową książek dziecięcych i młodzieżowych.

Nasz adres: Klub Siedmioróg, ul. Świątnicka 7, 52-018 Wrocław